BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN
czyt. 2552/1978/9

W NUMERZE:

Emil Biela

Wiersze z cyklu „Toast za galaktyki"

str. 6

Rys. Andrzej Kot

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 30 IV 1978 Nr 9 (651) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

NA DRODZE STAŁ KOŁOBRZEG (1)

Z lubelskiej szli wyżyny...

Alojzy Sroga

CHYBA nie skrwawisz niepotrzebnie pułku?

Cisza.

Gdyby o tej porze muchy fruwały, też by zawiesiły lot.

Dwupiętrowy dom przy szosie śmierci [1]) jest już stanowiskiem dowodzenia siódmego pułku piechoty.

Stanisław Łastowski, polityczne, ale i moralne sumienie pułku, ponawia pytanie, tylko lekko zmieniając treść.

— Stachu, nie skrwawisz chyba bezmyślnie pułku?

Russijan podnosi twarz, z której spłynęła krew.

— Zrobiłem to kiedyś?

Łastowski jakby lekko poruszył ładnie wystrzyżonym wąsikiem.

— Nie! Nigdy. Więc i teraz...

Russijan patrzy spokojnie w twarz swojego zastępcy.

— Stanisław, ty wiesz...

— Wiem.

Dwaj Stanisławowie, urodzeni w tak odległych miastach, rozumieją się skrzywieniem twarzy, zdenerwowanym zatarciem rąk.

Porucznikowi Łastowskiemu [2]) przed chwilą zameldował zastępca dowódcy batalionu — najstarszy w pułku wiekiem oficer, żołnierz jeszcze z pierwszej światowej wojny, KOP-ista, podporucznik Stefan Litwora [3]): „Nasz drugi batalion stracił dzisiaj siedemdziesięciu ludzi".

Doszli tylko w pobliże rowu melioracyjnego. Dalej posunął się Kościcki. Tak, ale w dziewiątej strzeleckiej czternastu żołnierzy rannych i zabitych...

Słyszeli obaj te radiowe i telefoniczne meldunki.

Russijan otrzymał rozkaz Zajkowskiego, zimny i obojętny, ale wojskowo do-

Dokończenie na str. 5

Rewolucja i miłość

Mirosław Derecki

„OJAKEM weszła tam, w Puławach, w dziewięćset piątym roku, do tych studentów-rewolucjonistów z Instytutu — a studenci: rosyjscy brodaci, sieriozni! — to nam pieśń zaśpiewali. A myśmy wszyscy płakali. Ja tylko weszłam i Świderski i jeszcze „Biały Janek" z Warszawy. A Świderski — to był mój narzeczony..."*)

I stara kobieta nagle zaśpiewała:

Otrieczimosia ot starowo mira
Otrachniom jewo prach z naszych nog
Nam nie nużno złatowo kumira
Nienawistien nam carskij cziertog.
My pajdiom w riad stradajuszczich bratjew
My gałodnomu ludu pajom...

*

Wiktoria Gembalowa siedziała na krześle, w ulubionym miejscu — na środku paradnego pokoju swego domu w Kurowie — wyprostowana, z dłońmi splecionymi, ze wzrokiem skierowanym przez okno na podwórze... Oto jej opowieść, która zaczyna się w małej osadzie pod Puławami u progu 1905 roku...

„Miałam szesnaście lat... jeszcze mi się nie skończyło... jak się Janek Świderski oświadczył. A ja mówię:

— Bój się Boga, przecież smarkata jestem, ja się wstydzę... — Zaczęłam płakać. Przecież nie mogłam wyjść za mąż, takie dziecko jeszcze; warkoczyk nosiłam ze wstążką...

— Żebym miała osiemnaście lat chociaż, to — mówię — wtedy, no dobrze, ale teraz!

Na to Janek: — Pamiętaj, ja proszę cię, żeby nikt u ciebie nie bywał. Niech nikt nie ma do ciebie prawa od dzisiejszego dnia!

Więc ja: — Zgadzam się bardzo, tylko pamiętaj, żebyś i ty się stosował. — I mieliśmy czekać dwa lata...

To jakoś było w Matki Boskiej święto, kiedy mi się oświadczył, a w zimie już był wzięty...

Dokończenie na str. 11

*) Tekst niniejszy powstał w oparciu o reportaż radiowy Danuty Bieniaszkiewicz i Mirosława Dereckiego p.t. „Opowieść babci Gembalowej"

HASIOR

WŁADYSŁAW Hasior przebywał w Lublinie dni kilka i zawsze, podczas wszystkich spotkań, które odbył pracowicie, miał licznych słuchaczy i widzów. Na wernisażu jego wystawy w BWA tłok panował straszliwy, ludzie wisieli sobie na plecach, deptali po nogach, walczyli o ładnie wydany katalog, a później, kiedy zmęczony artysta usiłował odetchnąć w gabinecie dyrektorowej instytucji — uformowali sporą kolejkę po autografy. Czegoś podobnego w życiu nie widziałem, mocniejszych argumentów za

Na wystawie

Fot. J. Trembecki

nieustającą żywotnością społeczną sztuki nie spotkałem. Cieszyłem się przewrotnie, widząc w owym tłumie kilkoro młodych zwolenników konceptualizmu i kontekstualizmu, którzy wyglądali w scenerii Hasiorowych sztandarów i metafor montowanych z przedmiotów trywialnych, zwyczajnych, często kalekich — a więc ci junacy wyglądali dziwnie: chyba byli speszeni i przytłoczeni niebywałym sukcesem twórczości uprawianej w materii, a przy tym polskiej z ducha, ludowej, siermiężnej, rozbuchanej w sferze

Dokończenie na str. 12

z notatnika

10 IV. Gorąco polecam wszystkim książkę znanego publicysty, Zygmunta Szeligi (Wyd. „Książka i Wiedza" — 1978) pt. „Polska dziś i jutro." Podtytuły: co planowaliśmy, co osiągnęliśmy, co nam się nie udało, co zamierzamy, najlepiej charakteryzują tematykę. Nie mam zamiaru dokonywać tu streszczenia, czy też szczegółowego omówienia dociekań Szeligi, ale z rozdziału „Strategia lat siedemdziesiątych" muszę przytoczyć pewien charakterystyczny fragment. Posłuchajmy:

Bardzo rozpowszechnione jest porównywanie naszej obecnej sytuacji, poziomu życia itp. z warunkami bogatych krajów zachodnich. Osobiście nie widzę w tym nic złego: zawsze trzeba się porównywać z krajami wyżej rozwiniętymi, zachowując przy tym rozsądek i realizm. Otóż porównania dzisiejszej Polski z dzisiejszą Francją czy RFN są niedorzeczne, jeśli „zapomina się" przy tym z czym zaczynała Polska zaledwie 30 lat temu.

Zapominając o przeszłości, nie można prawidłowo rozumieć i oceniać teraźniejszości, a także szans na przyszłość.

Trzeba więc pamiętać, że w ciągu tego trzydziestolecia Polska musiała w sferze gospodarczej, cywilizacyjnej, technicznej podjąć i wykonać wiele przedsięwzięć, które w rozwiniętych i bogatych dziś państwach Zachodu były zrealizowane znacznie wcześniej. Poświęcono im tam zresztą nieporównanie więcej czasu. Zaledwie 30 lat temu nie mieliśmy w Polsce dróg, nowoczesnych linii kolejowych, powszechnie dostępnej energii elektrycznej. Mieliśmy znikomą liczbę zakładów przemysłowych. Zatrudniały one w 1946 r. zaledwie 6 pracowników na 100 mieszkańców kraju, podczas gdy w krajach zachodnich już we wczesnych latach trzydziestych ten wskaźnik wynosił około 10 pracowników na 100 mieszkańców. Nie mieliśmy niemal żadnej nowoczesnej techniki w rolnictwie, a poziom kultury rolnej był mniej więcej taki, jaki zachodnia Europa miała na początku stulecia. Przesada? W latach 1946—1947 zbieraliśmy z hektara mniej niż 10 kwintali zbóż, niewiele ponad 100 kwintali ziemniaków i znacznie poniżej 200 kwintali buraków cukrowych. Są to plony zachodnioeuropejskie z lat 1907—1913.

Byliśmy krajem o zdecydowanej przewadze ludności wiejskiej. W 1946 r. tylko trzecia część mieszkańców naszego kraju żyła w miastach wielkich (powyżej 100 tys. ludności). Takie wskaźniki urbanizacji miały kraje zachodnie trzy lub nawet cztery dziesięciolecia wcześniej, podobnie jak wskaźniki aktywności zawodowej poza rolnictwem. Dopiero w końcu lat czterdziestych przekroczyliśmy w Polsce granicę 50% ludności utrzymującej się ze źródeł pozarolniczych. W krajach zachodnich osiągnięto to na początku stulecia.

I dalej:

Oceniając takie czy inne, nieraz dokuczliwe niedostatki materialne, musimy pamiętać, że od samego początku budowy socjalizmu konsekwentnie realizowaliśmy pewne priorytety, szczególnie w sferze życia społecznego. Więc maksymalny postęp do oświaty, pełne jej upowszechnienie i zdemokratyzowanie. Podobnie w dziedzinie kultury, ochrony zdrowia i całej polityki socjalnej. Nawet wtedy, kiedy wszystkim w kraju powodziło się kiepsko, nie mieliśmy wysp skrajnej nędzy, jakie i dziś jeszcze zdarzają się w krajach znacznie od nas bogatszych. Mimo istniejących jeszcze kłopotów mieszkaniowych od dawna nie mamy slumsów...

W pamięci ludzkiej utrwalają się rzeczy dobre i rzeczy złe, z tym, że o tych ostatnich raczej nie chcemy myśleć.

15 IV. Dziś obchodzę pewną rocznicę, wstyd się wprost przyznać, że aż trzydziestą. Miałem właśnie lat dziewiętnaście, byłem na pierwszym roku prawa, należałem do Akademickiego Związku Walki Młodych „Życie" i z ramienia tej organizacji redagowałem dodatek studencki, wspólnie z Alkiem Srogą i Jurkiem Lutowskim, przy „Sztandarze Ludu". Jakoś musiałem się sprawdzić (nie było to zbyt trudne, bo brak kadr dziennikarskich dawał się dotkliwie we znaki) i kierownictwo redakcji zaproponowało mi przejście na etat (jak to się dzisiaj zwykło mówić). Ten dzień dobrze zapamiętałem, stanowił wydarzenie w moim, jakże krótkim wówczas, życiu. Przez kilka pierwszych miesięcy byłem związany z działem terenowym, ale później zaczęto mnie przygotowywać do pracy w dziale depeszowym. Tu już panowała prawdziwa posucha — depesze redagowali na zmianę redaktor naczelny i jego zastępca, a ściślej zastępczyni, oboje chyba już mieli dosyć zarywanych nocy. I kiedy miałem lat dwadzieścia, puszczono mnie na szerokie wody. Jakoś nie utonąłem i, co tu wiele mówić, te depesze bardzo nawet później polubiłem, zwłaszcza że problematyka międzynarodowa interesowała mnie od dawna. Ta robota miała i tę dobrą stronę, że nie przeszkadzała mi w studiach. Przez kilka lat byłem najmłodszym pracownikiem „Sztandaru Ludu". No, ale czas w miejscu nie stał...

Nie wyobrażam sobie, aby dzisiaj w dzienniku samodzielnie redagował kolmuny depeszowe dwudziestolatek. Zespoły redakcyjne są na ogół ustabilizowane, absolwent studiów wyższych co najmniej do trzydziestki uważany jest za młodzieniaszka... Temat sam w sobie, niektórzy młodzi uważają, że ciągle nie są doceniani, innym znowu to prowadzenie za rękę nawet się podoba, bo trudniej wówczas o wpadkę. W każdym razie klimat tamtych lat był niepowtarzalny...

17 IV. Tkwię ostatnio po uszy w lekturze obozowej. Ojciec, sam więzień Sachsenhausen (teren b. hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Oranienburgu, gdzie dziś mieści się muzeum, odwiedzałem kilkakrotnie w czasie pobytu w NRD), pozostawił nie tylko swe wspomnienia („Serca za drutem"), ale i zebrał sporo książek do swojej biblioteki poświęconych tej tematyce.

Niektóre spośród tych książek czytam po raz pierwszy, inne po raz drugi i ciągle odkrywam w nich nowe, wstrząsające fakty.

Dzisiejsze „Życie Warszawy" zamieszcza właśnie streszczenie reportażu który ukazał się na łamach socjaldemokratycznego dziennika szwedzkiego „Aftonbladet". Temat — proces katów Majdanka, jaki już od dłuższego czasu toczy się przed sądem w Duesseldorfie.

Oto jedna z oskarżonych, Hildegard Laechert, zwana „krwawą Brigidą", winna śmierci 1196 (dziwne, jak to dokładnie policzono!) więźniów obozu. Zlewa w czasie zeznań świadków, może demonstracyjnie, może dlatego, że jest znudzona. W każdym razie nie jest niespokojna. Wie, że 28 obecnych na sali adwokatów zaraz rzuci się na świadka, jak zgraja zgłodniałych wilków. Bo proces ten różni się od większości innych. Tu świadkowie, a nie oskarżeni poddawani są przesłuchaniom.

Oskarżonej Herminie Braunsteiner-Ryan broni gwiazda palestry zachodnioniemieckiej, profesor Hans Mundorf — stary nazista i zbrodniarz wojenny. Jego kolega, Hermann Stolting, były sędzia sądów faszystowskich ma bogatą przeszłość również w Polsce, gdzie szafował wyrokami śmierci za takie „zbrodnie", jak np. kradzież Niemcowi roweru.

Adwokaci działają według zasady: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Za pomocą różnych kruczków zdołali już ponad 2 tys. razy doprowadzić do przerw w rozprawach.

O godz. 16 wszyscy wstają i wychodzą — w tym również oskarżeni. Odpowiadają bowiem z wolnej stopy.

W 1965 roku toczył się proces katów z Oranienburga, tego obozu, w którym przebywał mój ojciec. Sąd w Kolonii tylko jednego spośród oskarżonych skazał na 15 lat więzienia, ośmiu otrzymało kary od dwudziestu do dwudziestu dwu miesięcy więzienia, co ze względu na zaliczenie aresztu śledczego w praktyce oznaczało natychmiastowe zwolnienie.

Wszelkie komentarze są tutaj zbyteczne.

18 IV. Jeszcze mam zaległy urlop. A więc na razie adieu, redakcjo. Nie pozostaje nic innego, jak życzyć kolegom w miarę spokojnej pracy!

MAJ

SZPALTA O SPORCIE

WIOSNA. Na rzutnie, bieżnie, skocznie i w ogóle na boiska wyszli znów sportowcy różnych dyscyplin. Wzrasta liczba imprez i związanych z nimi emocji dla kibiców. Wprawdzie w zimie też mieliśmy powody do zadowolenia, bo to i Łuszczek i halowe wyniki lekkoatletów i awans hokeistów do grupy A. Były też rozgrywki siatkarzy i koszykarzy. Ale wiosna i lato dostarczają więcej wrażeń. Wiosna nastraja też do bilansu roku ubiegłego i stawiania horoskopów na rok bieżący w sporcie krajowym i naszym lokalnym.

Trochę ze smutkiem oglądamy bilans ostatnich miesięcy ubiegłego roku i początku bieżącego w naszym regionie. Jesienią ubiegłego roku opuściła pierwszą ligę ekipa żużlowców „Motoru". Teraz spadła z pierwszej ligi drużyna siatkarzy „Avii". Rozstali się z pierwszą ligą bokserzy „Avii". Podobny los czeka rugbistów „Budowlanych". Walczący o powrót do pierwszej ligi zespół koszykówki „Lublinianki" dał się zdystansować nie tylko „Legii"...

Drugoligowe drużyny piłkarskie „Motoru" i „Avii" nie są w zasadzie zagrożone spadkiem, ale nie mają już żadnych szans na nawiązanie kontaktu z czołówką. Coraz bardziej problematyczny (szczególnie po porażce outsiderem „Stalą" Poniatowa i Nowa Dęba) wydaje się powrót piłkarzy „Lublinianki" do drugiej ligi.

Coś źle się dzieje w lubelskim światku sportowym. Czy duże 300-tysięczne miasto nie może sobie pozwolić na obiekty sportowe z prawdziwego zdarzenia? Tak do organizacji imprez jak i do treningów. Nie rozwiązuje przecież sprawy boisko na Tatarach bez żadnego prawie zaplecza, nie rozwiąże go wyremontowanie stadionu „Motoru" przy Alejach Zygmuntowskich. Nie może też rozwiązać problemu sugerowane w „Kurierze Lubelskim" udostępnienie sportowcom wyczynowym boisk szkolnych czy osiedlowych, które zostały społecznie zbudowane przez mieszkańców tych osiedli po to, by ich dzieci miały gdzie spędzać wolny od nauki czas.

A stadion „Lublinianki" był budowany dla 100-tysięcznego miasta, którego mieszkańcy marzyli, by ich drużyna znalazła się w drugiej lidze...

Kiedy już mowa o stadionie „Lublinianki" warto przypomnieć, że został on w znacznej mierze zbudowany czynem społecznym. Na placu po zburzonej przez okupanta dzielnicy „Wieniawa" na gruzach starych fundamentów całe miasto wznosiło swój stadion, całe miasto też kupowało „cegiełki" na ten cel. A materiałem budowlanym były m. in. cegły z rozbieranego muru ogradzającego Saski Ogród.

Dzisiejsze potrzeby sportu wyczynowego wymagają bardziej specjalistycznych inwestycji, ale koszt ich można zmniejszyć wysiłkiem społeczeństwa, które obok bogatego protektora „Motoru" FSC — równie jest zainteresowane posiadaniem I-ligowej drużyny piłkarskiej. A drużynie takiej trzeba stworzyć warunki nie tylko kadrowe i zaplecza rezerw, lecz także odpowiedniego zaplecza infrastruktury sportowej. Tereny w planie zagospodarowania miasta istnieją, trzeba tylko dążyć do przyspieszenia budowy stadionów.

Ta przydługa dygresja o sporcie lubelskim zmusza z konieczności do krótkiego potraktowania innych spraw, a szczególnie najważniejszej. Za miesiąc mecz inauguracyjny mistrzostw świata Polska — RFN. Ostatnie sprawdziany naszych rywali nie wypadają dla nich pomyślnie: remis 1:1 z Brazylią i przegrana 1:3 ze Szwecją nie mogą być jednak podstawą do hurraoptymizmu u nas. Pamiętajmy, że przed naszym sukcesem w Monachium w 1974 r. oraz przed monachijską i montrealską olimpiadą sprawdziany naszej drużyny też nie wypadały najlepiej. Wprawdzie ze słabszymi zespołami Luksemburga, Grecji, Irlandii i kadry olimpijskiej CSRS nasza drużyna wygrała, ale to nie Brazylia i Szwecja, a Meksyk w rozegranych ostatnio spotkaniach wygrywał i strzelił 13 bramek a tylko jedną stracił.

Z umiarkowanym optymizmem czekajmy na czerwiec pamiętając, że mistrzostwa świata w piłce nożnej to nie sprawa życia i śmierci, ale jedno z wielu widowisk. Czas oczekiwania skrócą nam doroczne majowe emocje kolarskie na trasie Wyścigu Pokoju.

tgw

„HAWANA-78"

POD hasłem: „O antyimperialistyczną solidarność, pokój i przyjaźń" odbywać się będzie w dniach 28 lipca — 5 sierpnia w stolicy Socjalistycznej Kuby — Hawanie — XI Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Obok młodzieży kubańskiej weźmie w nim udział 16 tys. dziewcząt i chłopców, reprezentujących postępową młodzież z pięciu kontynentów.

Artystyczny program festiwalu to m. in. różnego rodzaju imprezy międzynarodowe, z których część będzie miała charakter konkursów.

Można spodziewać się, że podczas XI Festiwalu na Kubie, podobnie jak na poprzednich festiwalach, wysokie uznanie i sympatię zyskają propozycje polskiej ekipy festiwalowej. Do Hawany wybiera się 450-osobowa oficjalna delegacja polskiej młodzieży. Najliczniejszą — 120-osobową grupę stanowić będzie ekipa kulturalna. Pierwsze nominacje do tej ekipy wręczono członkom znanego nie tylko w kraju, ale i poza granicami Polski harcerskiego zespołu „Gawęda". Do udziału w ekipie kulturalnej zaproszeni zostali: Ewa Demarczyk, Maryla Rodowicz, Czesław Niemen oraz takie zespoły, jak: Chór Politechniki Szczecińskiej, Zespół Pieśni i Tańca „Słowianki" z Krakowa, zespół „Old Metropolitan Jazz Band", grupa plastyczna „Od nowa" z Poznania oraz kilku instrumentalistów.

Nie oznacza to jednak, że lista członków ekipy kulturalnej polskiej delegacji na festiwal jest już ostatecznie zamknięta. Szanse zakwalifikowania się mają bowiem jeszcze m. in. laureaci Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Młodzieżowej w Toruniu oraz konkursu debiutantów tegorocznego festiwalu w Opolu.

Zadania stojące przed ekipą kulturalną nie są łatwe. Chodzi bowiem nie tylko o towarzyszenie piosenką, tańcem czy muzyką naszej delegacji spotykającej się z młodzieżą innych krajów. Ekipa kulturalna ma przede wszystkim ambicję godnego zaprezentowania dorobku socjalistycznej Polski, również w sferze kultury. Odsłaniając kulisy przygotowań do festiwalu na Kubie warto przypomnieć, że przed ekipą kulturalną postawione zostały zadania: zorganizowania koncertu galowego dla ok. 4 tys. widzów, uczestnictwo w korowodzie podczas międzynarodowego karnawału oraz udział w międzynarodowych konkursach związanych z ideami festiwalowymi. Chodzi tu m. in. o konkursy: estradowy, pieśni politycznej i plakatu politycznego, filmowy i rysunku dziecięcego.

Członkowie ekipy kulturalnej mają również zapewnić część programu działającego w Hawanie podczas Festiwalu Klubu Młodego Artysty oraz zorganizować tzw. Centrum Informacji Kulturalnej w ramach „Bazaru Przyjaźni".

Przygotowania do XI Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów trwają. Polski ruch młodzieżowy inicjuje na terenie kraju różnorodne konkursy artystyczne. W maju np. rozstrzygnięty zostanie konkurs zespołów pantomimicznych. Najlepszy pojedzie na Kubę. Czesław Niemen pisze monumentalny „Hymn do matki Ziemi", który będzie śpiewany przez naszych czołowych wykonawców z tekstami poetów Ameryki Łacińskiej i innych wybitnych poetów świata — po polsku i w językach oryginalnych.

Niepokojący spokój

Maciej Podgórski

OSTATNIO coraz częściej można przeczytać lub usłyszeć, że w „Ursusie" kończą się rozmowy zmierzające do rozpoczęcia produkcji licencyjnych ciągników Massey-Ferguson (silnik Perkins). Nikogo nie trzeba przekonywać, iż jest to przedsięwzięcie wielkiej wagi dla naszego rolnictwa, a zatem i gospodarki żywieniowej kraju.

Jak informuje Jerzy Dzięciołowski („Życie Gospodarcze" nr 6 z 5 lutego br.) — w „Ursusie" wszystko przebiega należycie, kłopoty są tylko z przyszłymi kooperantami: „Aliści dzisiaj okazuje się, że tylko co otwartym fabrykom brak jest zdolności produkcyjnych dla podjęcia produkcji podzespołów dla Ursusa. Na brak mocy produkcyjnych cierpi, na przykład, FSC Polmo Lublin, producent kół i obręczy, którego nowe prasy i linie technologiczne kupione w Stanach Zjednoczonych pachną jeszcze świeżą farbą".

Obecna kołownia FSC Lublin wytwarza koła samochodowe o wymiarach do 15 cali. Dla licencyjnego ciągnika potrzebne są koła o wymiarach do 34 cali (kilkanaście typów) i jest to kwestia blisko dwumiliardowej inwestycji. Według uchwały nr 46/77 Rady Ministrów z 11 marca 1977 roku w sprawie rozwoju przemysłu ciągnikowego — rozbudowa lubelskiej kołowni miała się zacząć w trzecim kwartale br., lecz w limitach tego roku nie przewidziano ani złotówki na te cele.

Zdaniem Dzięciołowskiego — większość kooperantów rozmawia z „Ursusem" z pozycji siły, starając się „skubnąć jak najwięcej" od przemysłu ciągnikowego. Tak jakby decyzje o podjęciu jakiejś nowej produkcji, rozpoczęciu nowych inwestycji i uruchomieniu środków na te cele zapadały głównie na szczeblu zakładów czy zjednoczeń, a dopiero „najbardziej oporni zostaną wezwani na forum rządowe ulegną".

„Ursus dostarczy w tym roku partię informacyjną ciągników licencyjnych, nawet, jak mówią, gdyby miał je wyklepać ręcznie" — kontynuuje Dzięciołowski. Jest to takie ładne powiedzenie tylko, rodzaj konfekcji dziennikarskiej, bo przecież z góry było raczej wiadome, iż pierwszą partię ciągników MFP „Ursus" zmontuje głównie z części zakupionych za zielone, podłużne papierki, co, zresztą prawidłowe w tym przypadku; podobnie było z produkcją fiata 126p.

„W związku z opóźnieniem uruchomienia odlewni w Lublinie produkcja części odlewów dla Ursusa zostanie umieszczona w Skęczkach, Śremie, Nowej Soli, Jaworze — czytamy u Dzięciołowskiego. — Będzie się tam robić odlewy uzupełniające". To nieco inny temat.

W myśl uchwały nr 46/77 termin uruchomienia lubelskiej odlewni miał w IV kwartale 1979 roku, przy czym może zbyt optymistycznie założono, iż w roku 1980 da ona 50 tysięcy ton odlewów, czyli uzyska pełną zdolność produkcyjną pierwszego etapu; dochodzenie do pełnej zdolności trwa bowiem w tym przypadku 18 miesięcy. Późniejsza uchwała Rady Ministrów (nr 168/77) przesuwa termin rozpoczęcia produkcji nowej odlewni na wrzesień 1980 rok. O jakich zatem opóźnieniach uruchomienia Dzięciołowski w tej chwili mówi, skoro nie minął nawet pierwotny termin uruchomienia?

Fakt jednakowoż, że przyszłość w tej sprawie nie klaruje się całkiem jasno.

Budowana odlewnia jest zakładem FSC Lublin, choć z owych 50 tysięcy ton odlewów rocznie nie da ani grama dla FSC, lecz całość produkcji pójdzie na licencyjne potrzeby „Ursusa". Jak powiada Krzysztof Sikora, dyrektor odlewni w budowie, ciągnik są to głównie jeżdżące odlewy i odkuwki, blisko tona odlewów i tona odkuwek. Toteż nie potrzeba udowadniać, że lubelska odlewnia, choć kooperant tylko, jest dla „Ursusa" zakładem kluczowym, pracującym na najbardziej newralgicznym styku. A w uchwale nr 46, obok rozbudowy samego „Ursusa" i WSK Mielec, odlewnię „uznaje się za inwestycję szczególnie ważną dla gospodarki narodowej".

Rozpoczęła się ta budowa, pod koniec 1975 roku, i początkowo szła z wielkim rozmachem. Zaplecze, jakie dla siebie postawił wykonawca (Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego), nie ma bodaj precedensu w Polsce. Piękna, obszerna stołówka. Przestronny biurowiec dyrekcji budowy. Schludne budynki hotelowe. Magazyny. Wszystko z blachy falistej, ocieplanej. Całe to zaplecze kosztowało blisko 250 milionów złotych, tyle co niejedna inwestycja, choć w zasadzie przeznaczone do rozbiórki, gdy budowlani zejdą z placu.

Hotele są obliczone na około 1500 miejsc, ale obecnie pracuje przy budowie nie więcej niż 500 osób, ginących i mało widocznych na placu budowy.

„Teraz tutaj panuje dziwny spokój — powiada dyrektor Sikora, przedstawiciel inwestora. — I to jest właśnie niepokojące".

W czerwcu ubiegłego roku wizytowała powstającą odlewnię komisja rządowa z wiceprezesem Rady Ministrów, Józefem Kępą. W ślad za tym w lipcu uzgodniono szczegółowy harmonogram robót, z którego wynikało między innymi, że „Mostostal" warszawski, jeden z głównych podwykonawców, wykona do końca roku prace wartości 220 milionów złotych (montaż konstrukcji stalowych pod halę główną).

W uchwale nr 46 napisano: „Minister Hutnictwa zapewni w ramach przydziału dostawę wyrobów hutniczych dla wykonawstwa konstrukcji stalowych w terminie 40 dni od daty zgłoszenia zamówienia przez resort budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych". Napisano też: „Ministrowie nadzorujący wykonawców i dostawców materiałów, sprzętu i urządzeń, niezbędnych do wykonawstwa inwestycyjnego i wyposażenia obiektów związanych z produkcją ciągników, zapewnią dostawy w terminach umożliwiających wykonanie robót i oddanie obiektów do rozruchu..."

Do końca roku ani jedna konstrukcja stalowa hali głównej nie została postawiona.

Generalny wykonawca, LPBP, zażyczył sobie, aby przy rozmowie na owe tematy był obecny dyrektor Sikora. Tym sposobem rozmowa spontanicznie przekształciła się w małą konferencję prasową, w której — poza dyrektorem Sikorą i niżej podpisanym — uczestniczyli ze strony LPBP: Jan Doraczyński, naczelny inżynier; Stanisław Kloc, zastępca dyrektora do spraw techniki i rozwoju; Jerzy Niedziela, kierownik zespołu do spraw przygotowania produkcji odlewni.

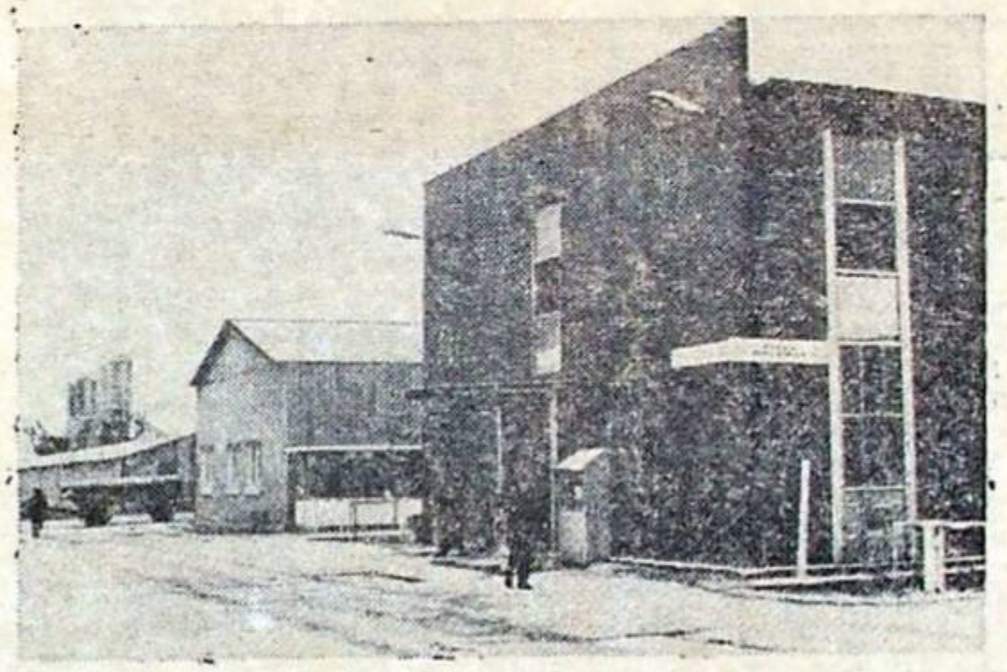

„Zaplecze budowlanych bez precedensu..."

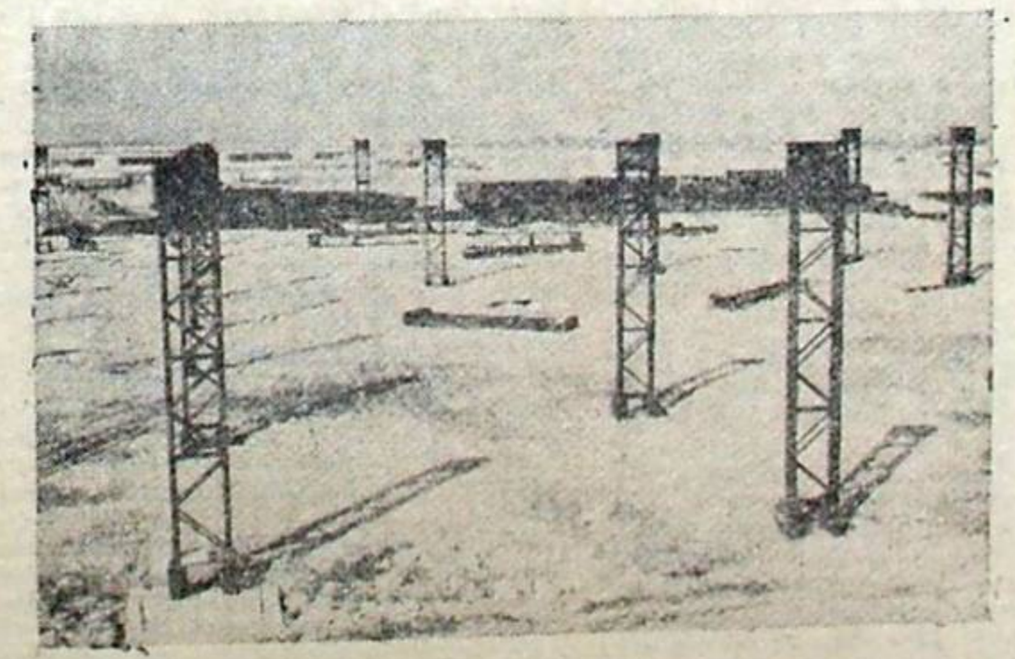

„Większość zwiezionych konstrukcji leży na placu..."

Fot. W. Stępień

A więc w ciągu kilku miesięcy zeszłego roku „Mostostal" praktycznie nic nie postawił. Nie było konstrukcji i sprzętu montażowego. Zaczęli dopiero w styczniu i robią opieszale. W tej chwili sprawa jest taka, że większość zwiezionych już konstrukcji leży na placu. Z 14 tysięcy ton postawiono jedynie około 1500. Nie dostaje ciężkich dźwigów montażowych. Co do tego wszyscy są zgodni, a ja przytaczam popularną w Lublinie anegdotę (z bieżącego roku). W poniedziałek nadszedł dźwig i postawił dwie konstrukcje, we wtorek przyjechał wiceminister budownictwa, zlustrował inwestycję i odjechał, w środę rano odjechał także dźwig, drugi dźwig się popsuł.

Równocześnie były kłopoty z kruszywem jako takim i z jego transportem. Jak „Transbud" skoncentrował środki przewozu kruszywa, to odpowiednie zjednoczenie nie stawiało kruszyw do dyspozycji. Jak zjednoczenie stawiało do dyspozycji, to „Transbud" nie skoncentrował. Oto co się nazywa koordynacja.

Przedstawiciele LPBP powiadają, że były miesiące, kiedy potrzebowali na tej budowie po 1600 ton kruszywa na dobę do produkcji betonów, a mieli do dyspozycji po 20 ton. Koparki chwytały powietrze, trzeba było resztki kruszywa podpychać spychaczem. Stal zbrojeniowa ustawiona, szalunki ustawione, a brak betonu w wystarczającej ilości. Na dzień dzisiejszy sprawa betonu jest rozwiązana, ale o rok za późno.

Zatem zbilansowało się kilka błędów. Brak konstrukcji stalowych, brak sprzętu do ich montażu oraz brak kruszywa, czyli betonu na fundamenty pod te konstrukcje (w IV kwartał ubiegłego roku wykonawca wszedł z zerowym zapasem kruszywa).

Prawda, że tymczasem uchwała 168/77, wydana w listopadzie (w sprawie Narodowego Planu Społeczno-Gospodarczego), wychodząc z ogólniejszej sytuacji gospodarczej kraju, przesunęła termin uruchomienia lubelskiej odlewni o blisko rok; złagodziło to nieco opóźnienia budowy.

Ale problem w tym, że ustalone na bieżący rok limity (już przy nowym terminie oddania inwestycji) są bardzo niskie. Jeśli pierwotnie LPBP w roku 1978 miało wykonać prace wartości ponad 700 milionów złotych, to ostatecznie zatwierdzono środki w wysokości 400 milionów; „Mostostal" z ponad 500 milionów zszedł na około 350.

Przedstawiciele LPBP twierdzą, że istnieje dysproporcja między przesunięciem terminu oddania odlewni a zmniejszeniem limitów na rok bieżący. W tej sytuacji — chcąc dotrzymać terminu końcowego — trzeba by w latach 1979—1980 wykonać prace o takiej wartości, że na przykład LPBP musiałoby zejść ze swoich pozostałych czterdziestu kilku budów i robić wyłącznie przy odlewni, co jest, oczywiście niemożliwe z wielu powodów.

Kiedy począłem delikatnie wątpić, czy termin końcowy uruchomienia odlewni zostanie dotrzymany, przy stole zapadło milczenie tak głębokie, że słychać było świergot jaskółek nad ranem, a nawet wydmuchiwany dym z papierosów.

W każdym razie obecnie budowa, biorąc pod uwagę nawet okrojone limity tegoroczne, jest opóźniona o około pół roku co najmniej. Co do tego też wszyscy byli zgodni. Mszczą się przecież zaszłości. I to z okresu, kiedy jeszcze tak nie szczędzono limitów.

Wykonawca sugeruje, iż może by w terminie przekazać tylko obiekty bezpośrednio produkcyjne, pozostałe („towarzyszące") zostawiając na później. Inwestor twardo obstaje przy zdaniu, że trzeba przekazać inwestycję kompletną: „Nie możemy ciągle rezygnować ze stołówek, szkół zawodowych, mieszkań służbowych, bo potem się te sprawy ślimaczą w nieskończoność". No i jak skompletować 2490 osób załogi dla przyszłej odlewni, jeśli nie będzie zaplecza socjalno-bytowego? (Choć, oczywiście, pewna nadzieja w zapleczu, które zostawią budowlani; nadzieja, lecz nie rozwiązanie sprawy).

Piszę tylko o rzeczach najważniejszych, nie wchodząc w szczegółowe spory między projektantem, inwestorem a wykonawcą — o dokumentację drzwi do hali głównej, gdy tam jeszcze czyste pole; odkąd liczyć początek robót cyklowych i tym podobne.

Zastanówmy się, jakie są koszta przedłużania budowy takiej inwestycji, ale wpierw parę danych o

Dokończenie na str. 12

POLONIJNE SPOTKANIA W RFN (VII)

Do Hamburga...

Ireneusz J. Kamiński

JADĘ do Hamburga. W przedziale wagonu same starsze kobiety, niemieckie kobiety, więc milczę na wszelki wypadek, co oczywiście śmieszne, jako że jesteśmy przecież już dawno po wojnie, która może tej starszej pani, siedzącej przy oknie, zabrała syna, albo męża, — nie wykluczone, że w okolicach Warszawy lub Stalingradu. Tak, to jest ta polska sytuacja psychologiczno - moralna w RFN, przynajmniej jest to moja sytuacja: pierwszy raz tutaj, a w pamięci obrazek z Ciechocinka, z dawnych lat, kiedy to niemiecki rówieśnik wpadł w naszą rozrechotaną gromadkę z pejczem w dłoni, którym lać zaczął dziewuchy po nogach — bo to był śmigus-dyngus kwietniowy, a Johann dowiedział się, że przy takiej okazji Polacy chłoszczą dziewczyny. Myśmy chłostali witkami wierzbowymi, a on chciał być lepszy, zatem z pejczem wystąpił i katował, śmiejąc się całkiem radośnie, jak to dziecko...

Naturalnie, pociąg mknie szybko i punktualnie, a przy tym jest czysty, oczywiście, no i facet w białym kitlu też regularnie przemierza korytarze, pchając przed sobą wózeczek z napojami i galanterią cukierniczą. Cudowna jazda niemieckimi pociągami — gdyby nie te starsze, zacne dobrze przyodziane, błyszczące sztucznymi szczękami kobiety. Czy ja wiem, może takich facetów jak ja nie powinno się wysyłać do RFN, może powinni jeździć młodsi, którzy urodzili się po wojnie i nie mają obciążeń okupacyjnych... Wiem, cuchnące to wszystko kokieterią, ale co ja na to poradzę. Takich ludzi, jak Orth, spotkałem niewielu, chociaż — o czym właśnie on mnie poinformował — mamy w RFN sporo przyjaciół, a przynajmniej są tam obywatele bez uprzedzeń odnoszący się do Polski. Na odczyty Ortha o naszym kraju przychodzili przede wszystkim robotnicy, także pochodzący z Polski, którzy płakali ze wzruszenia, mocno obejmowali prelegenta, tłumaczyli się, że nie odwiedzili starego kraju tylko z braku pieniędzy, a poza tym bali się przyznać do polskości. Teraz, mówili, szczycą się swoim rodowodem, a jak Deyna czy Lato strzelają gole, to oni się szczycą jeszcze bardziej.

Odznaczony medalem „Zasłużony dla kultury polskiej" Orth jest przyjacielem naszym wcale nie tuzinkowym czy zaślepionym. Powiedział mi otwarcie, że wiele spraw, zachowań i obyczajów, które zaobserwował w licznych miastach między Odrą a Bugiem, że wiele zjawisk społecznych jakoś nie przypadło mu do gustu. Ze zdumieniem wspominał fakt porzucenia pracy przez załogę jakiegoś zakładu produkcyjnego, niewielkiego zresztą, w momencie, kiedy telewizja rozpoczęła relację z ważnego meczu piłki nożnej, w którym występowali biało-czerwoni. Wskazywał też na niską wydajność pracy i skłonności do prywaty, na przejawy braku poszanowania dobra publicznego. Sporo uwagi poświęcił sprawie chleba, który u nas jest wyjątkowo tani, a tam przeciętnie 1 kilogram kosztuje 3 marki. Więc trudno się dziwić — irytował się Orth — że w Polsce na wsi karmią chlebem króliki. W RFN jest to nie do pomyślenia: jeśli ktoś pracuje na bochenek 20 minut, rezultat swojej roboty będzie szanować. Dlaczego poza tym — pytał publicysta — nie lubicie kaszanki? Przecież to produkt zdrowy, tani i smaczny. W naszych konserwach, które nie umywają się do polskich, jest 50 proc. mąki lub kaszy. Albo masło: po co tyle go spożywacie, jeśli wiadomo że powoduje sklerozę? 80 procent konsumentów zachodnioniemieckich zadowala się margaryną: bo zdrowa i tańsza od masła. Wszyscy intelektualiści Republiki Federalnej Niemiec jedzą margarynę. Za dużo też używacie cukru, który można przecież zastąpić sacharyną...

Nie ulega wątpliwości, że Orth, mężczyzna raczej szczupły, odżywia się racjonalnie, zdrowiej ode mnie.

Każda wartość powstała w kraju polepsza polskie samopoczucie na obczyźnie. No i odwrotnie: każda porażka, każdy błąd wprowadza naszych rodaków rozsianych po świecie w zakłopotanie. Ile satysfakcji dają im występy wybitnych artystów polskich, odwiedzających m. in. RFN! Nawet ci z Polonusów, którzy całe życie ciężko tyrali w hutach i kopalniach, nie mając po prostu czasu i wewnętrznych możliwości na bliższe kontaktowanie się z kulturą artystyczną, nawet oni nieobecni w salach koncertowych, z dumą wymieniają na przykład nazwisko Konstantego Kulki — bo występy naszego świetnego skrzypka ściągają tłumy publiczności zachodnioniemieckiej. Raduje ich także taki drobiazg, jak polskie ziemniaki, uznawane na tamtejszym rynku za najlepsze.

A z drugiej strony z zażenowaniem informują o bezprogramowym profilu polskiej galerii sztuki „Depolma", prowadzonej przez BHZ „Desa" w Düsseldorfie, a afiliowanej przy polsko-niemieckiej spółce handlowej. Placówka „prowadzi" właściwie wszystko: biżuterię ze srebra, szkło artystyczne, sztukę ludową, obrazy profesjonalistów. W tzw. wzorcowni galeryjnej znaleźć można płótna Jerzego Nowosielskiego, Janusza Przybylskiego, Edmunda Łubowskiego, Janusza Kaczmarskiego oraz Stanisława Łazorka, Marii Urban, Franciszka Kmity czy Gniatowskiego. Są też kopie ikon.

Zrozumiałe, że taki melanż nie buduje autorytetu galerii. Wiadomo bowiem, że dzisiaj w świecie liczą się tylko placówki wyspecjalizowane, dbające o czystość profilu i poziom oferowanej twórczości. Kolekcjonerzy niemieccy wysuwają pod adresem „Depolmy" jeszcze jeden chyba zasadniczy zarzut: że to wszystko co ona prezentuje, jest za drogie. Przecież — mówią — słynne szkło włoskie nie ustępuje waszemu, a jest tańsze. To samo dotyczy biżuterii i obrazów, jedynie sztuka ludowa przyjmowana jest bez tego rodzaju zastrzeżeń: drobnica rezana w drewnie idzie tam wagonami. Owszem, „Depolma" mogłaby handlować wysoko — gdyby miała taką pozycję wśród zachodnioniemieckiej klienteli, jaką posiada np. „Galerie an der Düssel", specjalizująca się w tzw. realizmie fantastycznym, opartym na solidnym warsztacie, kokietującym jakby elegancją, dyskretnym erotyzmem. Za takie prace wystawione w takim miejscu kolekcjonerzy skłonni są wyłożyć 10 000 marek, albo nawet 16 875, przypisane do akwareli Antona Lehmdena o wymiarach 44 na 30 cm. Prace oferowane przez „Depolmę" są znacznie tańsze, ceny obrazów wahają się w granicach od 400 do 2000 marek, ale zdaniem tamtejszych fachowców i tak są za drogie. Rzecz w tym, jak wspomniałem, że galeria nie ma autorytetu, a nazwiska naszych artystów są jeszcze mało znane w tym rejonie Europy. A w handlu dziełami sztuki nic tak się dziś nie liczy, jak właśnie sygnatura twórcy, mitologia stworzona wokół niego przez skomplikowany system reklamy. Ale dlaczego nas nie znają, dlaczego tylko Hasior, Stażewski, Kantor i może z pięciu innych artystów znajduje się na listach wartości europejskiej plastyki? Odpowiedź jest prosta i znana: nigdy poważniej nie interesował nas rynek zachodnioeuropejski, a co za tym idzie — nie stworzyliśmy dotąd organizacyjno-fiskalnego systemu transferu polskich wartości za granicę. Podobno ma to wszystko zostać jakoś zracjonalizowane...

Wieszam psy na „Depolmie" ale w kontekście powyższych uwag nie jest to tak bardzo uzasadnione, a poza tym galeria działa dopiero od dwóch lat — jako pierwsza polska instytucja tego typu w świecie. Niemniej jednak nie znajduje sensownego wytłumaczenia jej profilu, którego właściwie nie ma. Tłumaczenie, że chodzi tu o biznes, nie wytrzymuje krytyki, albowiem „Depolma" mamony właściwie nie przynosi, wychodząc na zero. Fakt sprzedaży dzieła klasyka polskiej awangardy geometrycznej za 2000 dolarów należy uznać za incydentalny, choć, czy ja wiem, może wart refleksji handlowej?

Mimo wszystko Polacy mają szansę usadowić się dobrze na rynku RFN, szczególnie zaś w Düsseldorfie, gdzie mieszka i wykłada w akademii sztuk pięknych znany rzeźbiarz i animator tamtejszego ruchu artystycznego, Kurt Sandweg, człowiek wyjątkowo życzliwie ustosunkowany do naszego kraju, często goszczący w Polsce, ostatnio — zima 1978 roku, kiedy to wraz ze swoimi studentami przebywał w ośrodku rzeźbiarskim w Orońsku. Jemu należy zawdzięczać fakt przyjęcia na doroczną i renomowaną wystawę w Düsseldorfie (1976) prac malarskich, graficznych i rzeźbiarskich aż 40 polskich autorów! Byli wśród nich tacy artyści jak Adam Myjak, Ryszard Winiarski, Henryk Waniek, Leszek Pózga, Andrzej Tryzno i Janusz Przybylski... Poznałem Sandwega na zebraniu informacyjnym Towarzystwa Niemiecko-Polskiego w Oberhausen, na które przyszło sporo osób (panie w kreacjach wieczorowych), aby wysłuchać prelekcji o kontaktach między obu państwami, rekonstruowanych przez polskich dziennikarzy znakomitą, budzącą sympatię sali niemczyzną. Sandweg wydał mi się człowiekiem pełnym inicjatywy, uczciwym, wartym naszego zainteresowania.

Dojeżdżam spokojnie do Hamburga. Na peronie ogromnej hali dworcowej miał na mnie czekać pan Wojciech Salwa, członek Związku Polaków „Zgoda" w RFN, u którego mam pomieszkać. Nie znamy się, więc zgodnie z telefoniczną umową trzymam w dłoni numer „Głosu Polskiego". Chodzę po peronie — coraz bardziej niecierpliwie, bo nikt mnie nie zaczepia, nie wita. W końcu opuszczam dworzec. Wracam jednak. „Pan Kamiński?", słyszę nareszcie. Okazuje się, że pan Salwa już od dwóch godzin czeka na rodaka, „tak na wszelki przypadek", a myśląc, że pomyliłem pociągi, przemierzył wszystkie pozostałe perony. Ale to był tylko wstęp do życzliwości, jaką później otoczył dziennikarza z kraju były jeniec wojenny niemieckich stalagów, wzięty do niewoli po walkach w Modlinie 29 września 1939 roku, a po wyzwoleniu — kierowca w armii brytyjskiej przez lat 10, następnie zaś robotnik, który ledwo minął pięćdziesiątkę, już musiał pójść na rentę, po przeżyciu ciężkiej zresztą operacji.

Mieszkanie pana Salwy okazało się nieźle urządzone. Gospodarz pokazał mi wszystko dokładnie, bardzo dokładnie: i łazienkę, i kuchnię z małą jadalnią, i trzy pokoje. W jednym z nich, należącym do 21-letniej córki, Krystyny, spostrzegłem na ścianie reprodukcję obrazu „Stanisław August Poniatowski" Bacciarellego, a w oszklonej biblioteczce polskie laleczki w strojach ludowych, dwa godła narodowe i takie m. in. wydawnictwa: „Zamek królewski w Warszawie", tomiki poezji i album fotograficzny „Ziemia Kielecka".

Wojciech Salwa

„Bo ja pochodzę z Barczy na Kielecczyźnie, gdzie dotąd brat mój, Władysław, mieszka", poinformował pan Salwa. „A to jest właśnie list od niego, który otrzymałem w stalagu X A, jeszcze w maju 1941 roku. Chce pan przeczytać?"

Niewprawne pismo, kilka zdań zaledwie, ale ile w nich polskiego losu:

„Pisze list dnia 6 maja donoszę ci żeśmy tamten odebrali za który ci serdecznie dziękóie. Donoszę ci żeśmy wszyscy zdrowi także i cała rodzina. Poprzychodziły karty dla młodzieży że przymusowo jechać ale nikt nie pojechał to niewiem jak będzie. Proszę o prętki odpis".

Nikt nie pojechał na przymusowe roboty do Niemiec, sześciu braci Wojciecha Salwy poszło do lasu, siódmego jednak złapano wcielając do kolumny Polaków kierowanych do niewolniczej pracy w Reichu. No i przepadł ten najmłodszy bez wieści, w wieku 14 lat przepadł brat Stefan.

„Ja jestem za zgodą miedzy Polakami i Niemcami, ale żeby oni tak uczyli dzieci w szkołach, aby znów się historia nie powtórzyła. Nie mam wykształcenia, lecz wiele rozumiem. Tu czasami Hupka czy Czaja, przechrzty jakieś, krzyczą na Polskę... A najbardziej to chodzi o to, żeby Polska z Rosją trzymała w związku sprawiedliwym. Wtedy nikt Polski nie ruszy."

Paweł Kubiak

KSIĘGA

Leży,
leci od rozpadłych kości
do mglistych spojrzeń.
Zapisujemy swoje znaki,
połyskujące, złociste, błotniste,
biegniemy, wleczemy się,
stoimy.

Słońce wysyła anioła,
zwiastuna kolejnych kartek
a może tylko wierszy.

Zostawiłem zapis błota,
zapis chleba i pragnienia,
alfabet wędrownych butów
pojedynczy, jak drzewo na
kraju.

Lasu?

SPACER

Znowu weszłaś we mnie jeden
krok,
tak jak ja chciałem wyjść
z ciebie.
Nasz spacer trwa,
odkrywamy swoje parterowe
głębie,
obchodzimy nasze wspólne
miejsca,
obnosimy w sobie
niewysłowioną niemożność.

Józef Andrzej Grochowina

KSIĘŻYC

Odejmij od księżyca
ogród słowika
Gałczyńskiego gitary
pijane słowa, ach
zabierz srebrne kolczyki łez —
z komputera coś dodaj,
w serenad słodki krem
„love" motorem wjedź,
a gdy zbłądzisz w nocy
być może jeszcze gdzieś —
długo ćwiczonym palcem
w kretyńską luny gębę
jądrowo mierz —

do reszty głupia
się zlęknie

i pęknie

Smuga fatalna,
gruz jej upadku —
ułoży się w betonowy ciąg,
jedź po nim, przed siebie jedź,
nad tobą jeszcze tyle
gwiazd — — —

Ów wiersz nie miał szczęścia: jeszcze przed prima aprilisem ukazał się w „Kamenie" z 19 marca (nr 6), ale pod nazwiskiem... Józefa Andrzeja Jurczyszyna. Bardzo autora przepraszamy! (Red.).

Rys. D. Opolski

Dokończenie ze str. 1

ładny i precyzyjny, nie pozostawiający wątpliwości i miejsc na wahania.

„Z pp zdecydowanymi działaniami wzmóc natarcie i przyspieszyć zdobycie Kołobrzegu".

To właśnie było przyczyną pytania porucznika Stanisława Łastowskiego pod adresem dowódcy siódmego pułku piechoty majora Stanisława Russijana.

Nachyla się on teraz do mikrofonu, przypomina sobie swój kryptonim, obowiązujący w łączności radiowej.

— Ja Rycarow ja Rycarow...

Zgłosili się wszyscy dowódcy batalionów — Tarnawski, Szulczyński, Kościcki.

Mówi im spokojnie, jakby przed chwilą nie pobladł po rozkazie dowódcy dywizji, jakby nie wysłuchał pytania Łastowskiego.

— Wycofać się na noc do najbliższych zabudowań. Ogrzać i nakarmić wojsko. Rano do natarcia. O dwudziestej trzeciej — u mnie.

Wycofali więc dowódcy batalionów swoje kompanie do pozycji obu cegielni — po lewej i prawej stronie szosy. Do Niekanina i pojedynczych domków. Grzeje się potwornie przemarznięty Zwiryn na zdjętych z zawiasów drzwiach; ma napełnioną manierkę Zbyszek Mrajski, może więc przyśpieszyć obieg krwi; ze spokojem, że swoje zrobił drzemie skulony Staszek Kędra [1]). Przycupnęli, zwinięci w kłębek, czterej żołnierze dziewiątej strzeleckiej — Kosim, Cubrzyński, Wiśniewski i Baran. Próbuje żuć kawałek chleba, po całodziennym poście, Stanisław Wieżeń. Zastanawia się nad losem Tomka Podedwornego Franek Wyrwała. Zygmunt Linkiewicz pisze ładnym, równym pismem ów gorzki meldunek o dużych stratach dziewiątej kompanii. Majaczą — o matkach i bliskich dziewczynach — kołebani na kompanijnych wozach ranni żołnierze. Odniesiono na płaszcz — palatce ciężko zranionego Zbigniewa Czepnikowskiego, łącznościowca, który mimo ostrzeżeń Zwiryna, kolegi z parowozu biegł, bo musiał „wiązać" drutem dowódców, bo takie jego łącznościowca prawo, który nie strzela, nie naciera, „tylko" biega

W kompanii sanitarnej przyjmują zranionych chorążych — Leszczyńskiego, Podedwornego, biorą ich pod chirurgiczny nóż. Przyniesiono, a potem dowieziono z wieloma ranami na ciele chorążego Janusza Sieczkowskiego [2]), dowódcę pułkowego plutonu zwiadu pieszego. Zapuścił się zbyt blisko miasta, dostał od snajpera, a potem jeszcze odłamkami granatu moździerzowego. Zniknęła z twarzy jego normalna wesołość.

Tarnawski, po odprawie u Russijana, zebrał dowódców kompanii w małym czerwonym domku koło cegielni.

— Do rana przetrzymać kompanie na dotychczasowych stanowiskach. Przed świtem zająć wieczorne pozycje. Początek natarcia o godzinie ósmej. Saperzy budują kładki.

— Eryk? Powiesz coś? — pyta politycznego zastępcę

Suchanek wzrusza ramionami.

Co tu mówić. Kołobrzeg musimy zdobyć. Taki jest rozkaz i... — zastanawia się nad doborem słowa — takie nasze żołnierskie pragnienie. Morze... — urywa, nie kończy, macha ręką.

Po przeciwnej stronie szosy skupił się drugi batalion. Odprawę robią jednak tak samo po prawej stronie szosy śmierci, w domku, który Szulczyński zajął z tyłu Tarnawskiego.

— Urbanowski, wy jutro zdobędziecie kościół i ten sterczący język miasta — mówi dowódca batalionu.

— Obywatelu kapitanie — Urbanowski, powolny, flegmatyczny na zewnątrz, nie umiejący się chwalić, ani dostatecznie energicznie upominać o swoje prawa, teraz jednak czuje jak język mu się rozwiązał — bez wzmocnienia kompanii w środki ogniowe zadanie jest nierealne.

Kapitan Szulczyński patrzy nań złośliwie i jednocześnie mówi patetycznym tonem:

— Urbanowski, to dla ciebie zaszczyt, że możesz pierwszy wedrzeć się do miasta. Chyba, że Masiowski cię uprzedzi. Powinieneś być dumny, że takie zadanie tobie wyznaczam...

Urbanowski nie może sobie przypomnieć żadnego wykroczenia służbowego, które by mu kazało się rehabilitować, milczy jednak, widzi, że nie przekona gadatliwego „kombata".

Wtulił się w kąt barczysty chorąży Władysław Orłan dowódca batalionowych czterdziestekpiątek. Już dziś próbował szarżować. Rzecz w tym, że szukając okazji do walki i zgubienia się z oczu wysokiemu dowództwu — no, faktycznie: popił, tego popił i przed trzema dniami wlazł w parafię dziewczyńską najwyższych dywizyjnych władz i w rzeczy samej powiedział sobie, chorąży i pułkownik, parę słów o mamusiach — rozum trzeba zachować. Orłan wie, że gdy trzeba będzie, to i Urbanowskiego swoimi dwiema „praszczaj rodina" wesprze, ale milczeć woli.

Urbanowski odpowiada tedy krótko:

— Tak jest! Wedrę się.

Masiowski łyska oczami. Zobaczymy, kto pierwszy! Przez sekundę pomyślał o pewnej dziewczynie w Borszczowie, do której wspólnie uderzali ze Zbyszkiem Czopowikiem. Gra jest równa, męska — obaj poszli na front.

...Tymczasem saperzy pułkowego plutonu podporucznika Józefa Duczyńskiego zabrali się do roboty.

Od szosy śmierci, w prawo, biegnie droga do Mirocic, miejscowości pamiętnej z napoleońskich czasów, gdzie był i włoski pułk, ale przede wszystkim kwaterował dowódca pierwszego polskiego pułku piechoty, pułkownik Antoni Sułkowski. Przy tej to drodze, gdzie w ciągu dnia rozwijał się pierwszy batalion i cekaemy Wyrwały, zagospodarowali się saperzy. Pomyszkowali po domach i stodołach, zeszli niżej, gdzie tu dobre wierzeje, deski.

Z lubelskiej szli wyżyny...

Sergiusz Wasiuk ma zaradność we krwi. W dwunastym roku życia umarł jego ojciec pracujący w młynie pod Rożyszczami w powiecie łuckim. Tedy wcześnie stanął do pracy. Wrzesień poznał jako artylerzysta 23 pułku artylerii lekkiej w Będzinie. Wojnę jako zjawisko trwałe — w charakterze „zapadnika" w Armii Radzieckiej, w batalionie roboczym, gdzie się nie strzelało, ale w największym trudzie wykonywało wszystkie roboty frontowi służące. Pod Lenino — był razem z Zarożnym, w tej samej ósmej kompanii strzeleckiej pierwszego pułku piechoty. Zarożny dziś dowodzi ósmą kompanią w siódmym pułku, a Wasiuk wraz z Zygmuntem Jaworskim, Józefem Jaworskim, Wacławem Szczapińskim, Stanisławem Pakulskim, Mikołajem Karpinem i Stanisławem Sałackim dygają ciężkie wierzeje nad kanał melioracyjny. Znoszą pracowicie dechy, elementy kładek, już saperskimi oczyma widzą, gdzie i co trzeba wzmocnić, w którym miejscu belkę podłożyć, a gdzie słupek wbić. Towarzyszy im, jak zawsze małomówny, cierpliwy dowódca, podporucznik Józef Duczyński. Jego dziadka wywieziono, w carskiej Rosji, na Daleki Wschód. Ojciec, Stanisław jeszcze dobrze mówił po polsku. Józef jednak potrafił w Sielcach wypowiedzieć po polsku ledwie parę słów. Zadziwiające, jak każdego dnia opanowywał całe nowe zdania, pojęcia... Może dlatego mało mówił, by nie zdradzić się, że jeszcze jakiegoś słówka mu brak? — żartobliwie pokpiwają saperzy w nocnych godzinach. Wiedzą wszakże, i to budzi największy szacunek, że on i angielski zna. Z takim można iść na spotkanie aliantów...

Pokpiwają, pożartowują z dowódcy, wszakże gdy wkraczają na teren zaminowany, Duczyński odgarnia idących na czele:

— Poczekajcie. Ja najpierw...

Wchodzi pierwszy na pole minowe, sprawdza, czasem pokaże mu się na czole kropelka, dwie potu.

Uśmiechnie się wtedy rozbrajająco do plutonu. I to jest dla chłopców satysfakcja. Takiego mieć porucznika...! Każdy by chciał. Nie każdy zasłużył. Nie każdy jest saperem.

Towarzyszy im podczas znoszenia desek, drzwi, wierzei, słupków, siekier. Te ostatnie owijają gałganami, by w momencie walenia w słupki nie sygnalizować wrogowi miejsca ich ciesielskiej żmudnej pracy.

Kapral Sergiusz Wasiuk, bez mała kwadratowy, bo mięsnie mają dziwny zwyczaj rozpychania człowieka wszerz nie wzwyż był już i strzelcem wyborowym, bez kłopotów, więc trafia każdorazowo nie w wodę, lecz w słupek, na którym spocznie szturmowy mostek. Rano chłopcy pójdą na miasto. Przed wieczorem rozpędzili się i hamowała ich nie tyle i nie tylko ogniowa nawała wroga, ale także — bezmiar wody. Trzysta — czterysta metrów rozlanej, nie wiadomo jakiej głębokości. A kanał ma ledwie kilka metrów. Zobaczy człek mostek, dojrzy jego drugą stronę, przemknie niby motyl nad resztą wody sięgającej kostek czy nawet kolan.

Całą noc trwa saperski znój w siódmym pułku, podobnie jak o kilometr i półtora kilometra na zachód pracują ich koledzy po siekierze i młocie z trzynastego batalionu saperów szóstej dywizji.

Michał Oleksiuk jest młodszy o dwa lata od swego brata piechura z czternastego pułku, co to przed wojną był i szwoleżerem w Starogardzie i morze w Gdyni widział. Michał przed wojną służył w dziesiątym pułku strzelców konnych w Łańcucie. Był cekaemistą podczas niefortunnej wyprawy polskiej na czeskie Zaolzie. Ogromnie mu się wtedy ta służba nie spodobała. Gdy z rodzinnych Czyżowic koło lwowskich Mościsk szli w minionym sierpniu do szóstej dywizji — na pytanie o zawód, powiedział: — Kamasznik.

— Znaczy się do nas, do saperów, pasujesz.

Faktycznie, rolniczy syn, rolnik także — pasuje do saperów. Robota z siekierą i piłą, prawie jak w domu. Tyle, że pory pracy trochę inne.

Dniem myśli o Stanisławie [6]), którego od tygodni nie spotyka mimo służby w tej samej dywizji. Nocą — ciężko pracuje.

Podobnie jak teraz, gdy kazano im przez rozlewiska Kanału Drzewnego, tuż na zapieczu ulicy Trzebiatowskiej, i ostry prąd Parsęty przeprawiać osiemnasty pułk.

Wyszedł on spod uderzenia Hempla fizycznie i moralnie rozbity. W czasie przegrupowywania się już nad rozlewiskiem plutony i kompanie wpadały pod hitlerowski ogień.

Plutonowy podchorąży Tadeusz Chłopicki, jak przystało na dwudziestolatka, jest dziarski, mężny, popędzający osłabłych i zdeprymowanych. Nie wszędzie jednak są Chłopiccy.

Starszy sierżant Karol Studołka, śląski wilniuk, albo — wileński ślązak, bo tu i tu mieszkał dowódca plutonu Michała Oleksiuka — przeprawia łodzią chłopców. Dwunasty lub trzynasty kurs tej nocy.

— Piętnasty albo szesnasty, panie sierżancie — prostuje saper który tak samo, jak i dowódca czuje w ramionach w piszczelach, w dłoniach, palcach ruchy wioseł.

Studołka niby w uśmiechu krzywi twarz.

— Wszystko jedno, pierunie. Bać się nie ma czego. Wiesz jak mówią? Tchórzowi bździnami dzwonią — kwiateczku mój kochany...

Roześmieli się. Przysiedli w stodole, której zabrakło pleców od strony miasta. Chwila przerwy. Poczekają, aż zbierze się znów kilkunastu dzwoniących zębami przestraszonych chłopców z osiemnastego pułku. Pracowicie, jak na rolników i saperów przystało, odpoczywają, popalają papieroska. Tyle ma człowiek ulgi.

— A bać nie ma się czego... — powtarza starszy sierżant.

Spoglądają na porąbane polana drzewa. Znaczy się nie w stodole siedzą, ale w drewutni. Saperów do drewna snadź podświadomie ciągnie.

Jeszcze jedno dobre sztachnięcie się dymkiem, pójdą zaraz.

Dowódca plutonu spuścił nagle głowę, jakby z żalem westchnął, że pora wstawać.

Spoglądają saperzy na majaczący cień. Zsunął się z polana.

— Panie sierżancie!

— Karol!

— Studołka...

Nie pomogą wołania. Bezgłośnie trafił go odłamek. Może i miał rację, że nie ma się czego bać, że śmierć nie zawsze oznacza ból, fizyczną i myślową mękę?

W Rościęcinie — dla siódmego i osiemnastego pułku na dalekim już zapieczu frontowym, to przecież całe siedem kilometrów od Kołobrzegu — żołnierze pierwszej brygady saperów przystąpili do budowy mostu, przez który przejdzie artyleria, samochody pierwszego i drugiego batalionu samochodowego z amunicją i żywnością, a w drodze powrotnej — pojadą ranni do szpitali w Wałczu, Złocieńcu czy Złotowie.

Jeszcze wszakże funkcjonuje prom zaprowadzony przez czwarty batalion saperów trzeciej dywizji. Jeszcze i prom trzeba obsłużyć, pełnić na nim i przy nim służbę komendancką, porządkową.

Saperzy wprowadzają pojazdy i sprowadzają ją z promu. Saperzy przeprawiają transporty przez rwący prąd Parsęty.

Nikt nie wie dokładnie, jak to się zdarzyło. Zmyło, najdosłowniej zmyło, z promu dwóch żołnierzy ósmego batalionu saperów — Józefa Adamczyka i Stanisława Dudka. Ani szukać w nocnej ciemności, w głębokiej na cztery metry rzece, przy rwącym prądzie. Obaj saperzy przyszli w sierpniu do wojska, obaj z Lubelszczyzny — Adamczyk z Tomaszowa Lubelskiego, Dudek — z Jastkowa.

Ktoś się przeżegnał, ktoś westchnął, prom szedł skroś rzeki, dalej płynęła bitewna fala.

Tylko zastępca dowódcy batalionu do spraw polityczno-wychowawczych w meldunku o nadzwyczajnych wypadkach, zauważył w jednym zdaniu:

„Ciał z powodu silnego prądu nie wydobyto".

I tak również giną saperzy, żołnierze, którzy raz w życiu pomylili się.

Z lubelskiej szli wyżyny do równego jak stół Bałtyku i tak niewiele zabrakło im do marcowego celu...

Im to i przywożonym do Niekanina rannym żołnierzom siódmego pułku, zagubionym przy ulicy Trzebiatowskiej, koło Kanału Drzewnego, strzelcom osiemnastego pułku piechoty, tym w jasnych szynelach leżącym na kołobrzeskim przedpolu krasnoarmiejcom z sojuszniczej dywizji, wygrywał na zdobycznej harmonii, amator muzyk z partyzancką przeszłością.

„Wojenka — cudna pani,
żołnierzy swych nie pieści
jak kulą go nie zrani,
to zgubi gdzieś bez wieści.
Jak kulą go nie zrani,
to zgubi gdzieś bez wieści."

Ostatnie słowo amatorski śpiewak przeciągał długo, rozwlekle, i smętnie... wieeeeściiii...

Pomamrotali bezgłośnie koledzy: ....gdzieś bez wieści".

Wychodzą przed stodoły i domy. Spoglądają ku północy.

Nad miastem stoi różowiejąca, przechodząca w pomarańcz i cegłę kołobrzeska łuna.

W niej — nasze przeznaczenie.

1) Dziś — Janiska 8
2) Przed wojną technik-hutnik w hucie „Pokój". Zmarł jako pułkownik rezerwy w Warszawie w lipcu 1977.
3) Obecnie mieszka w Namysłowie na Opolszczyźnie.
4) Obecnie rolnik w Janówku gm. Piaski Lubelskie.
5) Po wojnie był dowódcą dywizji na Lubelszczyźnie. Obecnie generał brygady.
6) Obaj bracia mieszkają obecnie w Kłodsku.

(c.d.n.)

Alojzy Sroga

(Fragment książki przygotowanej dla Wydawnictwa MON)

Kamena str. 5

Dni „Głosu Pracy” na Lubelszczyźnie

MIELIŚMY już w Lublinie »Dni „Trybuny Ludu”«. Corocznie w różnych miastach naszego regionu odbywają się »Dni „Sztandaru Ludu”«. Społeczeństwo województwa i regionu lubi te dni bogate w różne imprezy kulturalne, sportowe i społeczno-wychowawcze. Zawsze gromadzą one wielu widzów i słuchaczy.

W tym roku z inicjatywy lubelskiej Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych organizuje w dniach od 28 kwietnia do 9 maja w Lublinie i województwie lubelskim swe Dni redakcja „Głosu Pracy” pisma codziennego związków zawodowych. Na pewno i tym razem uczestnicy imprez będą je z zadowoleniem wspominać.

Zainauguruje »Dni „Głosu Pracy” na Lubelszczyźnie« 28 kwietnia tradycyjny już Festyn Robotniczy, który w tym roku będzie jednocześnie inauguracją obchodów 1-majowych. W czasie Festynu odbędzie się kiermasz handlowy oraz wystawa fotogramów zatytułowana „Ludzie i praca”.

W czasie trwania »Dni« odbędzie się cały szereg spotkań redakcji w zakładach pracy województwa w Świdniku, Lubartowie, Kraśniku, Puławach, Lublinie, w których oprócz załóg zakładów pracy — gospodarzy spotkań — uczestniczyć będą mieszkańcy tych miast. W czasie tych spotkań będą też organizowane kiermasze oraz wystawy, takie jak na Festynie Robotniczym.

W czasie trzydniowego okresu dni wolnych od pracy nastąpi kulminacja imprez »Dni „Głosu Pracy” na Lubelszczyźnie«. W „Dniach Głosu” odbędzie się wiele imprez sportowych. Będą to zawody hippiczne, które rzadko można oglądać w Lublinie, zawody kolarskie tzw. wyścig australijski, turniej siatkówki oraz mecz rugby między I-ligową drużyną „Budowlanych” i zespołem francuskim, który będzie rewizytował lubelskich rugbistów za ich marcowy pobyt we Francji.

7 maja odbędzie się też wielki quiz czytelniczy związany tematycznie z „Głosem Pracy” i problematyką omawianą przez ten dziennik.

Zakończeniem »Dni „Głosu Pracy”« będzie wielki koncert galowy, w którym wystąpi reprezentacyjny zespół wojsk lotniczych „Radar”. Wtedy też zostaną wręczone puchary i nagrody zwycięzcom konkursów sportowych i quizu czytelniczego.

W czasie trwania »Dni« Lubelszczyzna będzie też stałym tematem publikacji „Głosu Pracy”. M. in. na łamach pisma będzie przedstawiony tegoroczny „Przodujący Pracownik Lubelszczyzny” a numer świąteczny na dni 7—9 maja będzie poświęcony województwu lubelskiemu.

Z okazji „Dni” życzymy naszym kolegom z „Głosu Pracy” pozyskania wielu nowych sympatyków pisma, a mieszkańcom Lublina i województwa wielu niezapomnianych wrażeń z imprez zorganizowanych w »Dniach „Głosu Pracy” na Lubelszczyźnie«.

tgw

Jan Pern

ELEKTROKARDIOGRAM NR 62860
(teoria względności uczuć)

miała dla mnie
bardziej elastyczne ramiona
a jej dziewicza miłość
nie polegała na dzieleniu się rozkoszą
lecz na skrzętnym jej zbieraniu
pośród niepewności

opierała się w parku o drzewa
wieczorem grała na pianinie
czasem cytowała wiersze

spotkanie z rzeczywistością
było niepotrzebne
jak nasze rozstanie

zabrakło artysty
który by utrwalił
nasze oczekiwania na każdy pocałunek
który by utrwalił
naszą codzienność

zabrakło fotela
na którym moglibyśmy siąść
zamiast widza
by upajać się naszą miłością

Z cyklu „Toast za galaktyki”

EMIL BIELA

ŻYCIORYS ZIEMI

urodziłam się pięć milionów lat temu
matką moją była Słoneczna Tęcza
ojcem — Gwiezdny Inżynier

dzieciństwo miałam rajskie
potem chodziłam na uniwersytet
im. Życia Wspaniałego

teraz proszę o pozwolenie przejścia
na wcześniejszą emeryturę
gdyż zmęczona jestem cudami kosmicznymi

ZMORA WYOBRAZNI CZYLI JEDNA CZASZKA Z TRZECH CIAŁ

kosmogonik co światy stwarza
w Galaktyce obojętnie się przechadza
dal w niedal zamienia
kpi z ciebie
żeś naiwny jak telefon
żeś gadatliwy jak gazeta
żeś smutnowesoły jak poeta

nauczył ciebie ten genialny profesor
abyś przestał lękać się śmierci
a zaczął bać się przyszłości
pokazał ci kiedyś że pod koroną
ze słonecznych obręczy
naga czaszka jest
nic więcej

naga czaszka
twego brata
twego dziecka
twojej żony
jedna czaszka
aż z trzech
ciał

I WYPEŁNI SIĘ CISZA NIESKOŃCZONYCH PRZESTRZENI

Romeo i Julia — dwie najjaśniejsze gwiazdy
naturalne planetoidy Słońca Miłości
nikomu nie obce

cóż że posiwiał Romeo
cóż że postarzała się Julia
nikomu to nie obce

miliony dzieci Romea i Julii
niedługo wyruszą na kosmiczne trajektorie
wiatr słoneczny wypełni ich żagle
pomyślnością

a cisza nieskończonych przestrzeni
przestanie być pustynią
zasypie je gwar ludzkich głosów

kosmiczne drzewa w gwiezdnych oazach
rodzić będą tylko prawdę
nawet z ziemskiego kłamstwa

Rys. D. Opolski

ANALFABECI Z CENZUSEM

międzygwiezdne obłoki wodoru
szumią jak bałtyckie fale
a my nie znamy mowy fal
jak nie znamy mowy słońca
nie wiemy o czym mówią
gwiazdozbiory Łabędzia i Kasjopei

Kosmos przemawia do nas, woła
ostrzega przed burzą, powodzią, suszą
trzęsieniem ziemi i niepotrzebną śmiercią
on — bóg nieskończoności

ale mieszkańcy ziemi
to kosmiczni analfabeci
dyskutują, robią jajko kwadratowe
z pytania:
czyj ma być Księżyc
do kogo należeć ma Saturn i Mars
czyją kochanką ma zostać Wenus

chichocze selenonauta Twardowski
gdy widzi jak kłócą się niewydarzone wnuki
o prawa do własności ciał niebieskich

PROFESOR PAUL

gwiazdolot prędszy niż światło
gotowy do startu dalekiego
na żółte i czerwone gwiazdy

jednooki profesor Paul
nauczył się od ludzi pożegnań
więc wszystkich żegna podniesieniem ręki
jak prezydent
jak prawdziwy odwieczny przybysz

podniesieniem ręki
smutny to gest żałobny prawie
bo profesor Paul nie nauczył mrówek alfabetu
bo profesor Paul nie nauczył ludzi pokory
bo profesor Paul nie nauczył zieleni wieczności
bo profesor Paul zaraził się od nas nieuleczalną tęsknotą

profesor Paul jeszcze raz unosi rękę
pokazuje wizytówkę Ziemi
uśmiecha się jak uratowany od życia
przyrzeka że odda komu należy w swoim kraju
na Mlecznej Drodze
o pięć tysięcy lat podróży od Ziemi

profesor Paul całuje napis na wizytówce:
„Miss Ziemia — planeta wiecznej tęsknoty”

profesor Paul już tęskni
choć jego gwiazdolot dotyka jeszcze
bioder Ziemi

TOAST ZA GALAKTYKI

mam dość różowionej teraźniejszości
po dziurki oczu prostopokrętnych ziemskich szlaków
mam do syta trzydziestoletniego dreptania po tej samej ulicy
dość Paryżów Rzymów Nowych Jorków Berlinów i Genew
wznoszę toast za Galaktyki

a potem rzucam kryształowy
masoński puchar w otchłań Kosmosu
niech spadnie między księżycowe morze
Spokoju, Żyzności, Deszczu i Pogody
tam gdzie stanęło już dwunastu ziemskich apostołów
i śpiewam odę na cześć selenonautów

Wielki sukces małych form

Maria Bechczyc-Rudnicka

MIMO obfitego śniegu, który spadł nagle na miasto w przededniu wiosny kalendarzowej, atmosfera Szczecińskiego Tygodnia Teatralnego była autentycznie wiosenna dzięki, że tak powiem — kwitnieniu świeżych inicjatyw artystycznych, tudzież znakomitej przewadze wśród publiczności młodych widzów odbierających walory imprezy wręcz z entuzjazmem.

Małe formy teatralne są w ogóle nie od dziś mile widziane przez publiczność, zresztą niezależnie od wieku odbiorców. Można natrafić na nie w wypadkach występów gościnnych, inicjowanych indywidualnie przez wybitnych aktorów, bądź też na dorocznych prezentacjach Estrady (np. lubelskiej), a i prawie na każdym festiwalu teatralnym, gdzie figurują raczej w charakterze pozakonkursowych imprez towarzyszących. Moja pamięć zarejestrowała już w r. 1961 „Kochanego kłamcę" Kilty'ego w dwóch obsadach, zwłaszcza subtelną interpretację Antoniny Gordon-Góreckiej i Andrzeja Łapickiego. Wzruszył mnie do głębi mniej odległy monolog Haliny Mikołajskiej o służbie Jakuba za Rachelę, a całkiem niedawno — „Maria" Iredyńskiego w mistrzowskim wykonaniu Zofii Kucówny. I wiele, wiele jeszcze innych małych form, na których czele wymienię „A jak królem, a jak katem będziesz" (wykonawca Kazimierz Borowiec).

Ale tak się złożyło, że dopiero w tym roku wybrałam się po raz pierwszy na Ogólnopolski Przegląd Zawodowych Teatrów Małych Form w Szczecinie, przecie już trzynasty z kolei (choć zdarzyło mi się nawet opiniować na piśmie zgłoszony z Lublina na jeden z przeglądów „Rozpirzony bęben" Hrabala — prezentację Sylwestra Woronieckiego, obecnie aktora szczecińskiego), z tym większą więc przyjemnością stwierdzam teraz, iż wyprawa na słynną imprezę Klubu „13 Muz" sprawiła mi dużą satysfakcję.

Otóż wzmagający się od pewnego czasu trend do małych form stanowi obecnie bardzo żywy nurt życia teatralnego. Wiadomo, małe formy, czy powstające z myślą o przeglądach szczecińskich, czy bez związku z nimi, były zawsze przejawem tęsknoty aktora, choćby najwybitniejszego, do uniezależnienia się od oficjalnego planu repertuarowego teatrów zawodowych, które z natury rzeczy nie mogą uwzględniać wszystkich dyspozycji i aspiracji artystycznych poszczególnych aktorów. Dochodzi tu również pragnienie wyzwolenia się spod dyktatury reżysera traktującego niekiedy aktorów jak bezwłasnowolne elementy swej „koncepcji" inscenizacyjnej (szczęściem, okres ten zaczyna powoli przemijać). Poza tym mała forma wybrana samodzielnie przez aktora pozwala mu na próbę sił w reżyserii, jeżeli czuje do tego powołanie, a jeśli nie to przynajmniej na wybór swego reżysera i na porozumienie się w sprawie niezbędnych elementów scenograficznych.

Czy trzeba przypominać nadto o wielkiej przysłudze, jaką niekosztowne małe formy oddają eksperymentom teatralnym przy adaptacji różnych gatunków literackich?

Oczywiście poszczególne pokazy monodramów i innych małych form teatralnych mogą istnieć i istniały poza zasięgiem działalności Klubu „13 Muz". Na czym tedy polega główne znaczenie Szczecińskiego Tygodnia Teatralnego?

Primo: na konfrontacji różnorodnych inicjatyw i wynikających z niej bodźcach twórczych, secundo: na systematycznym, dorocznym, choćby i kilkudniowym, przygotowaniu sporych grup widzów w siedzibie Klubu i w szeregu zakładów pracy — do odbioru spektakli współczesnych w treści i formie, niekoniecznie prostych.

Dla oceny realnej wagi owego „secundo" przydatna będzie wiadomość, że poczynając od zeszłego roku wszystkie spektakle STT pokazywano oraz oceniano kolejno w Klubie „13 Muz" i w klubie Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego.

Wymownym wyrazem uznania dla inicjatywy „13 Muz" jest obecność w annałach tego ruchu takich nazwisk jak: Ryszarda Hanin (występ w „Radosnych dniach" Becketta), Irena Eichlerówna (prezentacja listów Chopina), Lidia Zamkow, Marta Stebnicka (z jej czarującą „Damą z Montmartre'u" czy mądrym „Nikt nie jest wolny od mówienia bredni" wg Montaigne'a), Wojciech Siemion, Jan Machulski (serdecznie związany z „13 Muzami"), Malak (fascynująca prezentacja „Trzynastego apostoła" wg Majakowskiego)...

W uzupełnieniu danych dotyczących omawianej inicjatywy Klubu Związków i Stowarzyszeń Twórczych „13 Muz" trzeba dodać, że patronuje jej Ministerstwo Kultury i Sztuki, Stowarzyszenie Polskich Artystów Teatru i Filmu oraz dwutygodnik „Teatr". Organizatorami zaś są: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Szczecinie, Towarzystwo Przyjaciół Szczecina i Federacja Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej. Honorowym przewodniczącym powołanego dla kolejnego przeglądu Komitetu Organizacyjnego i Komisji Artystycznej jest Prezydent Miasta Szczecina.

Przejdźmy teraz do tegorocznego, XIII OPZTMF.

Ze zgłoszonych Komitetowi Organizacyjnemu czterdziestu spektakli z różnych połaci kraju, po przeprowadzonej przez Komisję Artystyczną selekcji, dopuszczono na przegląd dwanaście. Poza tym, zgodnie z tradycją STT, do programu festiwalu weszły jeszcze dwie prezentacje pozakonkursowe, wyróżnione w poprzednim roku. Obydwie pochodziły z warszawskiego Teatru Adekwatnego.

Ponieważ pozycje te, że tak powiem, umknęły z mego pola widzenia w Warszawie, chciałabym skorzystać teraz ze sposobności, by wyrazić swój zachwyt precyzją, jasnością, z jaką Henryk Boukołowski podawał niełatwy przecie tekst Norwidowego „Promethidiona". Mniej, przyznam się, trafia mi do przekonania „Anna" Jana Drzeździona (scenariusz Alicji Grajewskiej) w inscenizacji i wykonaniu cieszącej się dużą popularnością wśród widzów szczecińskich Magdy Teresy Wójcik. Wydało mi się, że prawda zderza się tu niekiedy z upozowaniem na ludowych świątków, cokolwiek seryjnych. Cóż, po części — sprawa tekstu. A i komentarz drukowany inscenizatorki jakby nie był całkowicie w zgodzie ze spektaklem, który interesuje nie tyle specyfiką samotności starej Anny, ile jej przeżyciami matki i echem krwawych dziejów.

Trzeci pozakonkursowy spektakl uświetnił zakończenie XIII Szczecińskiego Tygodnia Teatralnego. Był to interesujący pokaz znanej sztuki Arthura Millera „Widok z mostu" w wykonaniu studentów III roku Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi, gdzie opiekunem roku jest Jan Machulski.

Na czoło prezentacji konkursowych wysunęła się i słusznie otrzymała pierwszą nagrodę publiczności oraz Ministra Kultury i Sztuki „Cudzoziemka" Marii Kuncewiczowej w adaptacji, reżyserii i wykonaniu Anny Lutosławskiej. Był to właśnie jeden ze wspomnianych wyżej przykładów budującej obecności w danym ruchu bardzo wybitnej zasłużonej artystki. Anna Lutosławska, Irena Szramowska (w roli córki głównej bohaterki) i dawny aktor Teatru im. J. Osterwy w Lublinie, Andrzej Balcerzak, odtwarzający postać Adama, godnie reprezentowali Teatr „Miniatura" przy krakowskim Teatrze im. Juliusza Słowackiego. Jeżeli jednak w każdym świetnym przedstawieniu wolno krytykowi znaleźć coś, co mu nie odpowiada, to osobiście chętnie bym widziała zrezygnowanie z projekcji filmowej w scenie cmentarnej, efekt raczej zbędny przy tak wyrazistym przekazywaniu tekstu.

Maria Kuncewiczowa — „Cudzoziemka". Anna Lutosławska

Fot. M. Czasnojć

Drugą nagrodę w plebiscycie uzyskał, za interpretację aktorską tekstu „Niejaki Piórko" (reżyseria Zbigniewa Wróbla), zdecydowany faworyt publiczności Andrzej Burzyński z Teatru im. St. Jaracza w Olsztynie. Osiągnął on taką perfekcję dowcipu w intonacji, mimice i ruchu, że potrafił porwać widzów absurdalnym (awangardowym!) humorem Henri Michaux.

Nagrodę trzecią przyznała publiczność Klubowi „13 Muz" za znane „Przedstawienie „Hamleta" we wsi Głucha Dolna". Nie schlebiając gospodarzom z wdzięczności za gościnę, mogę wszak stwierdzić, że aktorzy szczecińscy, z „naszym" tj. byłym lubelskim, Sylwestrem Woronieckim (w roli Nauczyciela), rozegrali wybraną pozycję z humorem w jej warstwie satyrycznej i z pasją — w dramatycznej. Miałabym raczej pewne zastrzeżenia do koncepcji reżysera (zresztą też od czasu do czasu „naszego" — reżyserującego w Lublinie, Bogdana Cybulskiego), przesadnie operującej przerzuceniem poszczególnych scen na tyły widowni. Szczerze mówiąc i sam tekst Ivo Bresana, zachowując niestety aktualność w zakresie sporadycznych anomalii społeczno-ekonomicznych, zwietrzał w swych treściach satyryczno-ludycznych na skutek przemian, które przynosi dzisiaj wsi niemal każdy nowy rok. A znowuż kojarzenie owej parodii z niektórymi praktykami adaptatorskimi współczesnego teatru (v. artykuł Grzegorza Sinki w n-rze 1 „Dialogu" z r. 1975) wydaje mi się nieco naciągnięte, too far fetched, jak by powiedział Amerykanin.

Nagrodę Komisji Artystycznej (pod przewodnictwem Jana Machulskiego) w kategorii monodramów uzyskał spektakl Bałtyckiej Agencji Artystycznej w Sopocie „Konarmia" Izaaka Babla (adaptacja i reżyseria Kazimierza Łastawieckiego) w znakomitym wykonaniu Stefana Iżyłowskiego. Był to wstrząsający obraz okrucieństwa krwawej wojny domowej, poprzez które pokazał wyraziście aktor swoisty humanizm, a zarazem groźne niebezpieczeństwo wymiaru sprawiedliwości według wyczucia indywidualnego sumienia.

Komitet Organizacyjny tegorocznego STT, ze swym przewodniczącym, dyrektorem Klubu „13 Muz", p. Edmundem Kieszkowskim na czele, uhonorował, jak to się mówi, „waszą korespondentkę", przedstawicielkę „Kameny", oddaniem do jej dyspozycji nagrody Urzędu Wojewódzkiego. Przyjęłam ten wysoki zaszczyt jako miłą reperkusję niedawnych obchodów mego 90-lecia i przyznałam „nagrodę seniorki krytyki teatralnej, Marii Bechczyc-Rudnickiej" za prezentację „Kiedy ranne wstają zorze" wg Marka Nowakowskiego w reżyserii i wykonaniu Marka Mokrowieckiego i Karola Suszki z Bielska Białej. Spektakl ten, moim zdaniem, (zresztą zajął on też czwarte miejsce w plebiscycie publiczności) zalecał się pozornie lekką, lecz celną, głęboko sięgającą satyrą na lizusostwo i kunsztownym w intonacjach, mimice, ruchu wykonaniem aktorskim, przy całkowitym wyzbyciu się scenografii. Poza tym powodowała mną w wyborze konieczność dostrzegania interesujących inicjatyw artystycznych daleko od stolicy. I właśnie również z Bielska Białej pochodziła jeszcze bardzo dobra prezentacja poetycka „Sergiusz Jesienin", powstała na Scenie „Żagiew 77" przy Zarządzie Wojewódzkim SZMP.

Ten najlepszy na przeglądzie montaż poetycki (w reżyserii także Marka Mokrowieckiego) wykonali: Cezariusz Chrapkiewicz, Włodzimierz Chrenkoff, Stanisław Kieresiński oraz Krystyna Fuczik, kompozytorka i piosenkarka, bardzo wrażliwa, znakomicie wyczuwająca ducha poezji Jesienina, jak zresztą i wszyscy jej partnerzy w prezentacji.

Gdy już mowa o poezji, muszę niestety odnotować, że obydwa programy z Poznania przyniosły zawód. Subtelna poezja Achmatowej została w „Kwitnącym głogu" zagłuszona krzykiem i zmanierowanym śpiewem, z kolei zaś poezja Tadeusza Nowaka chyba nie nadaje się do interpretacji wokalnej zastosowanej w „Białej broni rozsądku". A szkoda, bo obie artystki są pełne wrodzonego wdzięku.

Lepiej poszło Waldemarowi Wilhelmowi w rzeczy o Poecie i Rewolucji „Z Majakowskim sam na sam", jednak była to prezentacja nierówna w prawdzie wyrazu.

Z prozy, cóż jeszcze! „Hamlet 79" (Teatr „Miniatura") nie może iść w zawody z „Cudzoziemką", rzecz prosta — z racji przykrego tekstu Bohdana Drozdowskiego, zaś spektakl „Dwa dialogi jednego wieczoru" Eugeniusza Priewiezienceewa (Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego) wydał mi się rozwlekły i przeładowany naturaliami.

Natomiast istną ucztą było dopuszczone w drodze wyjątku na przegląd (bo wieloobsadowe) przedstawienie „Opery za trzy grosze" w wykonaniu Wrocławskiego Teatru Lalek, w reżyserii Wiesława Hejno, ze scenografią Eugeniusza Stankiewicza i muzyką Kurta Weilla. Pełno tam było przednich pomysłów (choćby zawieszenie lalek nazewnątrz sceny i stamtąd ich pobieranie). A co najważniejsze — pokazano naocznie, jak inspiracja przechodzi od aktora do marionetki, pokazano ten osobliwy ich sojusz artystyczny.

Wydaje mi się, że powiedziałam wyraźnie już na wstępie, w czym widzę doniosłe znaczenie STT, pozostaje mi więc w zakończeniu życzyć Klubowi „13 Muz" dalszej tak pożytecznej działalności.

Na ludzkiej ziemi

Tadeusz Jasiński

DZIEŃ kwietniowy, dzień słoneczny. Zruszona ziemia przyjmuje ciepło, paruje. Te ledwo widoczne mgiełki nad gruntami pochodzą właśnie z tego procesu, bo w tej części konstantynowskich pól za maszynami pyły jeszcze się nie wznoszą. Dopiero odeszła zima. Natomiast po całodziennym nasłonecznieniu zbudzonej gleby, przed wieczorem, za siewnikami podnoszą się już obłoczki kurzu. Dobry to widok, oznacza, że ziarno owsa od razu może się sposobić do kiełkowania. Ponad dwudziestu traktorom przegradza drogę wąska jeszcze na tym odcinku rzeczułka Czyżówka, więc zawracają, by po kilku minutach znowu przyciągnąć w to miejsce kultywatory, talerzówki i brony, bo przecież co prędzej trzeba umościć ziemię pod ziarno owsa, jęczmienia, jarej pszenicy i roślin motylkowych.

Poznaję najlepszych spośród dobrych traktorzystów: Kazimierza Mikiciuka i Tadeusza Nitychorowicza. Zimą nie próżnowali, w ich zawodzie zajęć jest dosyć — podobnie jak u kierowcy Henryka Woźniaka — wciąż trzeba trzymać ręce na kierownicy i przy sterach. Jednak na wiosnę, o, to zupełnie coś innego. Teraz robi się nareszcie w ziemi, to jest dopiero prawdziwa rolnicza robota. O ośmiogodzinnym dniu pracy nie może być mowy, zupełnie tak samo, jak w czasie żniw i w okresie jesiennych zasiewów żyta. Czwartej klasy gleby prawie tu nie ma. Jest piąta i szósta, i to bliższa, niekiedy, siódmej; o zimowej pszenicy, o cukrowych burakach można tylko marzyć. Dobre plonowanie wymaga więcej pracy niż gdziekolwiek indziej w państwowych gospodarstwach rolnych, bo ta ziemia rozrzucona w 46 kawałkach, aż w czterech gminach, do niedawna była l u d z k a.

Ludzka była to ziemia? Co to znaczy? W Konstantynowie termin ten słyszę w rozmowie z naczelnikiem Urzędu Gminnego, Lucjanem Golikiem, i pierwszym sekretarzem KG PZPR, Bolesławem Kotem. Największe rozdrobnienie gruntów objętych tym synonimem jest właśnie na obszarze podporządkowanym miejscowej władzy, zakład PGR musi tam gospodarzyć aż na 22 spłachetkach. Dla poszczególnego rolnika mogą się wydawać sporymi polami, dla wielkich maszyn, szczególnie drogich kombajnów, są to tereny niewygodne. Właśnie traktorzyści ponoszą z tego powodu trud największy. W Białej Podlaskiej kierownik Wydziału Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej KW PZPR, Stanisław Bieleń, powie mi w rozmowie, że właśnie przezwyciężanie tych niedogodności przez załogę zakładu w Konstantynowie stanowi wyróżnik niezwykle korzystny a postawa kierownika gospodarstwa, Stefana Ruseckiego, niestety, nawet w kombinacie Rozkosz, do którego konstantynowski zakład należy, wciąż jeszcze nie znajduje zbyt wielu naśladowców. Kierownictwa państwowych gospodarstw oraz spółdzielni kółek rolniczych chętniej przejmują od starych rolników ziemię, gdy uprzednio geodeci scalą to rozdrobnione dziedzictwo i oddadzą im pod zagospodarowanie wielkie połacie.

Rusecki także w zachwyt nie popada, wolałby, aby równocześnie — skoro już koniecznie chcą przejść na rentę, albo emeryturę — ustępowało z ziemi kilku sąsiadów, bo z ich stu lub więcej paseczków powstawałoby przynajmniej kilka kawałków bardziej sposobnych do zagospodarowania. Są to jednak na ogół tylko pobożne życzenia i tę l u d z k ą ziemię trzeba przyjmować w terminach dogodnych dla rezygnujących, a nie dla nowych gospodarzy. Zakład w Konstantynowie sam więc dogaduje się ze swoimi indywidualnymi sąsiadami, zarówno w tej gminie, jak i w Janowie, Rokitnie i Sarnakach, no i scalają wspólnie w porozumieniu, nie raz, nie dwa wcześniej, niż ustalą to mierniczowie. Więc te 1500 hektarów w 46 kawałkach. Aż w 46, czy tylko? Aż — bo nie jest tak, jak np. w zachodniej Polsce i są trudności w uprawie. Tylko — bo mogło być tych spłachetków kilkaset, gdyby nie zapobiegliwość nowego gospodarza i zgodność rolników, którzy zachęceni nowymi bodźcami rządu decydują się na dalszą harówkę na swoim, rozumiejąc jednak potrzeby wciąż wzbogacającego się sąsiada. Nie wszyscy aprobują te poczynania. Złożył ktoś wniosek pragnie oddać państwu ziemię w zamian za rentę, pojawia się tam Rusecki, a po wsi już idzie wiadomość: „Kierownik z Konstantynowa chodzi po miedzach, będzie zabierać pola".

Są tacy, którzy listonosza co miesiąc witają chętnie, ale chętniej widzieliby swoje pola niezagospodarowane. Tu posadzić by radzi ziemniaki, tam pastewne buraki, a ówdzie także zasiać owies, aby przez jakiś czas cieszyć się jeszcze gniadym, który do niczego już niepotrzebny, ale pozostaje symbolem tego, co z żalem trzeba było porzucić. Nie ma następcy, nie ma dziedzica i nie ma w mięśniach już siły. Więc przynajmniej uczepić się pragną ojcowizny, pogrzebać w ziemi... Urzędy wojewódzki i gminne przyjęły formułę: na wniosek kierownika gospodarstwa w Konstantynowie... itp. ziemia obywatela zostanie przekazana... Nad tym boleje pan Stefan, bo przecież naprawdę wniosek składa stary rolnik, a nie nabywca. Ten ostatni staje tylko przed smutną koniecznością. Wspomniany już Stanisław Bieleń przedkłada mi dane z ostatnich dwu lat. W tym czasie rolnicy zrzekli się w województwie bialskim 26500 hektarów. Ponad 16 tysięcy ha przejęli w wieloletnią dzierżawę ich indywidualni sąsiedzi, którzy są dość młodzi i silni, aby podołać zwiększonemu trudowi, resztę natomiast — właśnie państwowe gospodarstwa, rolnicze spółdzielnie produkcyjne oraz spółdzielnie kółek rolniczych. Konstantynów otrzymał sporo piachów, które nadawałyby się raczej pod zalesienie, więc trzeba je teraz rekultywować, wzbogacić w takie składniki, aby zechciały znowu rodzić możliwie wydajnie.

Samo nawożenie mineralne nie wystarczy, a na wielką hodowlę bydła i trzody, która dałaby tysiące ton mierzwy, trzeba poczekać.

Władysław Rostalski, którego zastajemy w oborze, od wielu już lat haruje sam, ale i u niego gdzieś jest kres wytrzymałości i zawziętości. Zarabiał w niektóre lata więcej od dyrektora, ale w końcu zgodził się na pomoc, doszedł Józef Bobrycki i jest lżej, chociaż teraz trzeba obrządzić 400 byków, dbać, aby przyrost ich wagi był możliwie szybki. Latem zacznie się w Konstantynowie wielkie budownictwo gospodarskie i mieszkaniowe, przewidziano na ten cel 240 milionów złotych. Do 1982 roku 140 rodzin zamieszka w nowych blokach o stosunkowo wysokim standardzie, a w Janowie Podlaskim otrzyma mieszkania 96 rodzin pegeerowskich. Nie będą to wprawdzie agromiasta, o których kiedyś było głośno, ale, być może, ich zalążki. Rostalski stanie się może już za dwa, najpóźniej za trzy lata wielkim „posiadaczem" bo pod pieczą starszego oborowego i jego ludzi będzie wtedy jednocześnie 4500 bukatów. Przybędą też zabudowania dla 4000 owiec i 12 000 świń. Ta ostatnia liczba pod koniec przyszłej pięciolatki ma się podwoić. No i nadto suszarnia i mieszalnia pasz dla własnych i okolicznych potrzeb zostaną wzniesione.

Pora pomówić z samym kierownikiem tego wielkiego gospodarstwa. Przy okazji tych inwestycji pomstuje na prywatę kilku obywateli Konstantynowa i poprzedniego naczelnika. Jakże on mógł przy szosie do Gnojna przydzielić te cztery działki budowlane!? Tam właśnie powinny były stanąć bloki pegeerowskie wraz ze sklepami i innymi usługami, tam jest wyraźny skłon ku środkowi wioski. Zresztą nadawał działki nie na gminnym gruncie, ale należącym do rolnego zakładu, nadawał je z dziwną niefrasobliwością. Zanim wszystko się wyjaśniło, niecierpliwi planiści i architekci, bez konsultacji z przyszłymi użytkownikami, przewidzieli rozdysponować podmokłe tereny

50-LECIE ZMWRP „WICI"

O równy start

Mieczysław Wereski

W MARCU 1928 r. Zarząd Główny Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej (utworzonego w czerwcu 1919 r.) powziął uchwałę w sprawie usamodzielnienia się Związku oraz postanowił wydawać nowe pismo (tygodnik), którego pierwszy numer pod nazwą „Wici" ukazał się z datą 25 marca. Zwołany na 28 czerwca walny zjazd delegatów kół zaakceptował to stanowisko, przekształcając CZMW w samodzielny Związek Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej, nazywany powszechnie od swego organu prasowego — „Wici". W ten sposób grupa czołowych działaczy CZMW, mająca autorytet i poparcie w kołach, zerwała z prosanacyjnym Centralnym Związkiem Kółek Rolniczych, któremu Związek był statutowo podporządkowany, przeciwstawiając się próbom uzależnienia organizacji od obozu sanacyjnego i wprzęgnięcia jej do akcji wyborczej BBWR.

Powstały przed 50-ciu laty ZMWRP „Wici" był — jak czytamy w statucie „zrzeszeniem (federacją) Związków Wojewódzkich Młodzieży Wiejskiej, mającym na celu uzgadnianie i ogniskowanie pracy nad podniesieniem duchowego i gospodarczego poziomu oraz poczucia obywatelskiego młodzieży wiejskiej". Głosząc hasła „sami sobie" oraz „ziemia, władza i oświata dla ludu" Związek w praktycznej działalności dużo uwagi poświęcał samokształceniu, oświacie rolniczej i spółdzielczej, wychowaniu fizycznemu i pracy kulturalnej. Wszystkie te poczynania były realizowane przede wszystkim w kołach, których działalność opierała się w głównej mierze na pracy samej młodzieży. Co prawda początkowo pomagali kołom niektórzy nauczyciele, ale wskutek szykan administracyjnych (zwalnianie z pracy lub przeniesienie do odległych miejscowości) nauczycielstwo odsunęło się w latach 1931—33 od współpracy z ruchem wiciowym.

Najczęściej stosowaną formą pracy oświatowej było samokształcenie prowadzone w zespołach, w których studiowano literaturę dotyczącą wybranych zagadnień. Rozpowszechnione było wspólne czytanie książek i wybranych artykułów z gazet oraz dyskusje nad nimi. Koła wiciowe prowadziły zespoły teatralne, chóralne, organizowały „Święta Wiosny" i „Święta Żniwne". Występowały też z inicjatywą zakładania spółdzielni producentów: mleczarskich, owocarskich, koszykarskich i innych. Związki wojewódzkie i powiatowe organizowały kursy dla dziewcząt, na których sporo miejsca poświęcono takim sprawom, jak prowadzenie gospodarstwa domowego, gotowanie, szycie, higiena i zdrowotność w domu, opieka nad dzieckiem itp.

Od 1930 r. rozpowszechniły się kilkudniowe kursy zwane „dumaniami", poświęcone przeważnie zagadnieniom ideologicznym. Szczególną rolę w działalności „Wici" odegrał Wiejski Uniwersytet Ludowy, a po zmianie nazwy od 1930 r. — Wiejski Uniwersytet Orkanowy.

Wszystkie te poczynania miały służyć zasadniczemu celowi, jakim było wychowanie młodego człowieka, który miał przebudować życie wsi zgodnie z założeniami ideologicznymi ruchu ludowego.

W miarę jak umacniał się i rozwijał ZMWRP „Wici", kształtowało się też coraz wyraźniej jego oblicze ideologiczne, wyrastające z dążeń i pragnień młodego chłopa, który — jak pisał Jan Szczepański — „nie chce należeć do warstwy ciemnej, poniżanej, rządzonej. Uświadomienie sobie, że to nie wina chłopów, że tacy są, jednocześnie rodzi przekonanie o wielkich wartościach wewnętrznych warstwy chłopskiej, które należy wydobywać i rozwijać, a mogą stać się one podstawą państwa i narodu... Stąd ten motyw godności człowieczej w chłopie przewija się jako główna oś ideologii młodzieżowej... To poczucie krzywdy stojące u podstaw działania przesłaniało jasne spojrzenie racjonalne na rzeczywistość, na warunki tę krzywdę wywołujące i na metodę pracy wiciowej i na jej zasadnicze cele. Stąd ta nieokreśloność programu i skłonność do mistycyzmu".

Na kształt ideologiczny Związku i jego programów zawartych w kolejnych Deklaracjach, przyjmowanych na walnych zjazdach w latach 1931, 1933 i 1935, oddziaływało wiele czynników. Największy jednak wpływ na rozwój ideologiczny „Wici" wywarł kierunek społeczno-polityczny zwany agraryzmem. Jego zwolennicy głosząc, że najwyższe wartości w społeczeństwie reprezentuje warstwa chłopska, która jest bezpośrednio związana z ziemią i na niej pracuje, akcentowali jedność wszystkich warstw chłopskich, nie dostrzegając istniejącego na wsi zróżnicowania klasowego. Chłopstwo jako całość przeciwstawiali miastu, a w tym i klasie robotniczej, nie doceniając jej możliwości w dziele rewolucyjnego przeobrażenia ustroju społecznego.

Te utopijne założenia agraryzmu, stanowiące podstawę ideologiczną „Wici", nie wytrzymały próby czasu, a zamiary wcielenia ich w życie, jak i związanie się Związku ze Stronnictwem Ludowym, pociągały za sobą określone konsekwencje. Trudno było bowiem reprezentować interes całej wsi, jakże zróżnicowanej i rozdzieranej wewnętrznymi sprzecznościami. Na tym tle — tak w SL, jak i w ruchu wiciowym — rodziły się i ścierały różnorakie nurty i tendencje. Zaznaczmy przy tym, że chociaż

Kamena str. 8

nad Czyżówką. Im do konsultacji wystarczył inwestor, czyli odległy o dwadzieścia kilometrów kombinat w Roszkosz. Nie będzie to jednak rozkosz mieszkalna ani dla robotników PGR-u, ani korzyść dla Konstantynowa. Zamiast stworzenia warunków potrzebnych rolniczemu miasteczku, które swe prawa utraciło karnie po styczniowym powstaniu, zbuduje się raczej coś w rodzaju odrębnej i dość odległej kolonii. Taka była szansa, taka szansa! Nie wzburzony rozmówca, ale reporter zapytuje, czy nie byłoby słuszniej stracić raczej pieniądze, które pochłonęły źle zlokalizowane projekty, a możliwości tej nie stracić?

Stefan Rusecki przyszedł do Konstantynowa dopiero przed pięciu laty, jest jednak patriotą tej miejscowości i okolicy. Przez cały powojenny okres kierował większymi i mniejszymi przedsiębiorstwami rolnymi za Hrubieszowem, w Karolówce pod Włodawą i wreszcie bliskich Kostomłotach. W tych samych stronach przed wojną jego ojciec był administratorem dóbr pewnego hrabiego, a w nowej rzeczywistości dyrektorem PGR-u. Dopowiedzmy: w pobliskiej Jakówce posiadał kiedyś nieduży majątek, który dawniej uszczupliła parcelacja, a przed 34 laty reforma rolna. Resztówka jednak znowu podlega niedoszłemu dziedzicowi, ale już jako kierownikowi państwowego gospodarstwa. Rusecki śmieje się:

— Gdyby ojciec żył, nie uwierzyłby, że to możliwe. Nie jest mi wcale łatwiej, że do ziemi po Zyberk-Platerach doszła także nasza, rodowa. Mam pięćdziesiąt trzy lata. Jest tu wielu rówieśników, są starzy ludzie którzy pamiętają. Niechby teraz w kierowanym przeze mnie PGR-ze działo się źle, oni by zaraz dokuczyli: „O, panie, pański ojciec... A pan, co robi z tą ziemią?"

Tak to się dziwnie i niepowszednio przeplotły losy dawne ze współczesnością. W pałacu Platerów — z tych samych, z których wywodziła się pułkownik Emilia — uczą się teraz chłopskie i robotnicze dzieci. Dyrektor gminnej szkoły zbiorczej, Marian Sempruch przechowuje w izbie muzealnej niejeden ciekawy eksponat, najbardziej jednak się stara, abym wyrobił sobie przekonanie, że PGR, odgrodzony jedynie murkiem, sprawuje rzeczywiste opiekuństwo nad tą placówką oświatową, współdziała w pedagogizacji rodziców, co roku łoży na tygodniową wycieczkę krajoznawczą oraz na dożywianie dzieci z rodzin wielodzietnych lub zaniedbanych, służy transportem, rzemieślnikami. Mnie ciekawi jednak najbardziej, co znajduje się za tym kamiennym ogrodzeniem.

Przed piętrowym dworkiem kobieta pieli różane grządki. Helena Żuk przez dziesiątki lat była robotnicą polową i tak dosłużyła się emerytury. Jest za swój trud szanowana. Zapragnęła być nadal użyteczna, więc przyjęła pół etatu. Nie, nie szuka lżejszej pracy, ale tak właśnie jej przypadło, że tego dnia przy kwietnikach. Jej pielęgnacja róż jest widoczna, przed dworkiem rabaty narzucają nastrój sielskiego zaścianka,

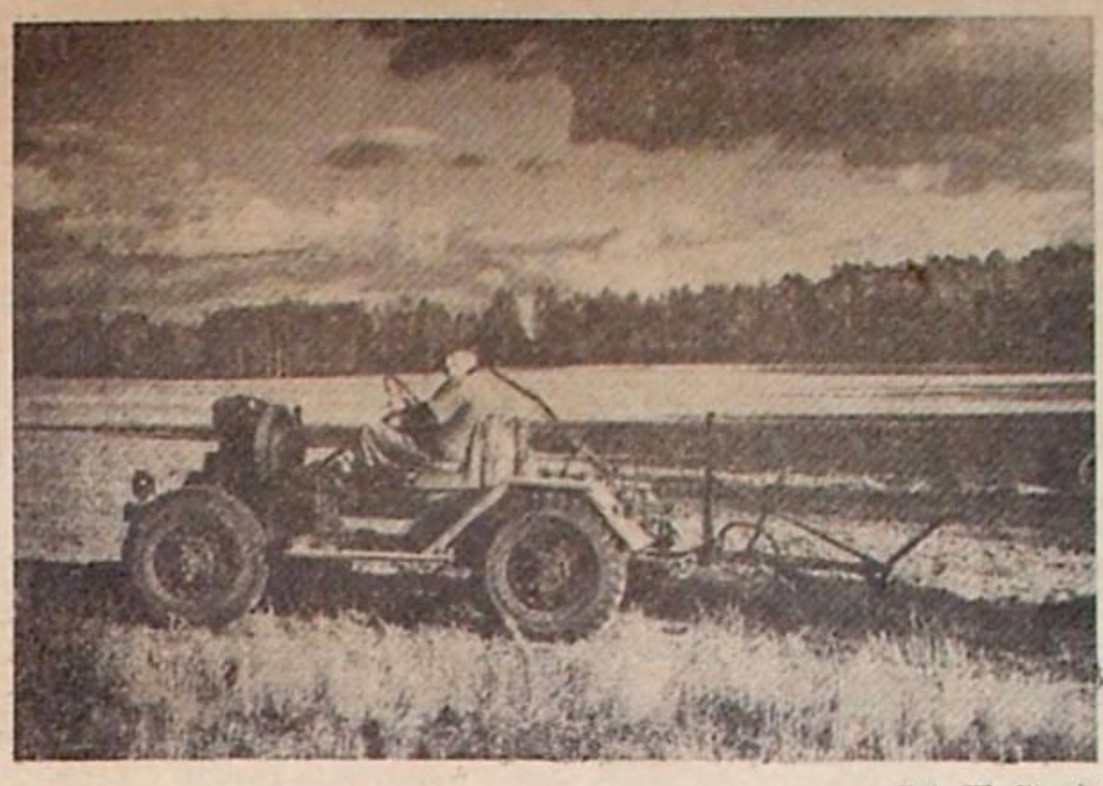

Fot. W. Stępień

równocześnie niejako nie pozwalają, aby podwórze i gospodarskie zabudowania mogły pozostawać w nieładzie. Wszędzie tu widać gospodarskie oko. Nawet w warsztatach — gdzie pracują rekomendowani przez kierownika, zasłużeni dla gospodarstwa kowale: Stanisław Stompor (złota rączka do wszystkiego) i Wacław Popławski — trudno znaleźć zbędne ostrużyny metalu. Podobnie jest u Tadeusza Wawryniaka, gdzie prowadzi mnie raczej alkoholowy węch, niż jakieś inne ślady. Nie da się jednak w tej gorzelni utoczyć spirytusu, choćby człowiek chciał się poświęcić, bo plomby na przewodach dobrze się trzymają.

Kiedy Stefana Ruseckiego skierowano do Konstantynowa, oprócz herbów Platerów i Tyszkiewiczów, uwidocznionych w kamieniu objął jedynie 50 hektarów ziemi i osiem rodzin, z których tylko połowa ostała się przy nowych rygorach. Na wspomnienie ówczesnego rozprzężenia oraz tych, którzy się napraszali ale wnet zostali rozszyfrowani, siwy już gospodarz wzburza się i podnosi głos:

— Nie znoszę obiboków, próżniaków, złodziei, kanciarzy i pijaków! Nie lubię jednak ludzi zwalniać. Staram się grzecznie, a kiedy nie rozumieją, daję taką robotę i tak zorganizowaną, aby mimo ich mentalności musieli coś zrobić, zarobić przynajmniej na utrzymanie rodziny no, a jeżeli nie, to ich nie ma już wśród nas. Teraz załoga jest młoda, średni wiek trzydzieści lat. A średni zarobek jaki? Osiem tysięcy. Kilku przekracza dziesięć. W tym samym czasie w rozprzężonych i rozpijaczonych gospodarstwach ledwo przekraczają dwa, a młodsi koledzy po studiach wyższych chcą uciekać z kierowniczych stanowisk, bo kto przykręca śrubę, ten wróg i nie ma spokoju. U nas handel jest przygotowany, że musi co roku — razem z premiami i trzynastką — przynieść cztery miliony złotych, a za kilka lat suma ta się uwielokrotni. 18 rodzin posiada już samochody. Robotnicy zdobyli mistrzowskie papiery przed państwową komisją, więc i zarobki według innej rubryki w tabeli płac. Chcę mieć takich ludzi, abym mógł im ufać. Robisz to, co dobrze umiesz, sprawdziłem, że to potrafisz i nie muszę cię wciąż kontrolować, ale jeżeli mnie zawiedziesz, jeżeli mnie okłamiesz, przyjrzę się tobie znowu bliżej, dokładniej. A i ty patrz, co i jak ja robię. Pracujemy w promieniu 10 kilometrów, w rozproszeniu, dlatego każdy musi być pracownikiem odpowiedzialnym. Na nas patrzą indywidualni, na nas wciąż patrzą ludzie, to jest społeczna kontrola!

Jedziemy znowu na pola. Dowiaduję się jeszcze, że łączna wartość wytwórcza gospodarstwa sięga 30 milionów złotych, z czego 16 milionów 800 tysięcy to towary służące rynkowi. Państwo zyskało w ubiegłym roku gospodarczym 20 milionów złotych zysku, mimo poniesionych kosztów inwestycyjnych. Idziemy brzegiem sporego pola za którym widać paski chłopskich zagonów. Słyszę: „W tym miejscu była miedza, a wśród wysokich badyli i zarośli krył się wysoki, graniczny kamień. Takie przegrody między gospodarstwami nawarstwiały się przez 200, a może i więcej lat. Kamienie, zbędne żelastwo, wszystko to rzucano na taką miedzę. Tam nadział się właśnie nasz traktor, uderzył z wielką siłą, rozbił się całkowicie i strata 400 tysięcy. Za zagospodarowany na nowo hektar ziemi otrzymujemy w pierwszym roku cztery tysiące złotych, w drugim dwa, w trzecim 600 złotych no i zwolnienie od podatku, ale nakłady trzeba poczynić o wiele większe. Niech pan przyjedzie za dwa, trzy miesiące i pójdziemy na takie nowe pola. Zobaczy pan: w jednym paśmie owies i jęczmień będzie wybujały, bo poprzedni gospodarz nawoził nad miarę i z długiej słomy ziarna wiele nie będzie, gdzie indziej zażółci się wstęga niedorostków. Słowem: to taki grzebień wyszczerbiony i w różnych odcieniach, że tylko na taki widok rolnik może śmiać się albo płakać. Wolę więc wysiewać na nowych polach łubin na ziarno, albo na przyoranie. Przynajmniej nikt nie będzie z nas pokpiwał. A potem? Potem wszystko się już stopniowo wyrównuje i ta smutna mozaika zanika. Ziemia wraca do zdrowia, poddaje się nowoczesnej kulturze rolnej, posłuszna jest naszej woli i naszym staraniom".

ZMWRP „Wici", zgodnie z programem patronującego mu SL, szukał drogi uzdrowienia sytuacji w kraju poprzez reformy społeczne, bez uciekania się do środków rewolucyjnych, to jednak postulaty jego w tym zakresie były częstokroć dalej idące, niż postulaty zawarte w programie SL.

Powstanie ZMWRP „Wici" było wyrazem — jak pisał Stefan Ignar — „buntu młodzieży chłopskiej przeciw szlacheckiej i kapitalistycznej elicie. Był to czyn zbuntowanego „chama", który nie chciał dalej uznawać upokorzenia ze strony tych, co żyli jego krwawicą".

I chciaż Związek, dziedzicząc tradycję CZMW, uznał się za organizację apolityczną, spełniającą wyłącznie funkcje kulturalno-oświatowe i wychowawcze, to w rzeczywistości już sam fakt utworzenia „Wici" był aktem politycznym, stanowiącym istotny element w walce o wyrwanie młodzieży wiejskiej spod wpływów sanacji. A deklarując swoją całkowitą niezależność polityczną Związek był traktowany przez władze państwowe podejrzliwie i niechętnie, zaś po 1930 r. wręcz wrogo. Także i kler podjął kampanię przeciwko kołom wiciowym. Od samego początku swej działalności Związek był zmuszony przeciwstawiać się zarówno organizacjom sanacyjnym jak i klerykalnym, starającym się wciągnąć młodzież wiciową w orbitę swoich wpływów. W tej walce ZMWRP „Wici" był osamotniony, gdyż rozbity wówczas i szarpany wewnętrznymi sporami polityczny ruch ludowy nie był w stanie dać należytego oparcia organizacji młodzieżowej. Przypomnijmy, że w Polsce międzywojennej postępowe organizacje stanowiły wyraźną mniejszość w porównaniu z organizacjami powiązanymi z partiami burżuazyjnymi, organizacjami kierowanymi przez kościół katolicki czy skupionymi wokół rządzącego obozu sanacyjnego. Na możliwości organizacyjne ZMWRP czy OMTUR, nie mówiąc już o KZMP, istotnie wpływały także szykany ze strony aparatu państwowego, a szczególnie policji.

W szeregach „Wici" skupiła się zatem najbardziej wartościowa i świadoma swych dążeń młodzież chłopska, która stanowiąc w ruchu ludowym element najbardziej bojowy i bezkompromisowy, wlączyła się licznie do fali ostrych walk klasowych, jakich świadkiem była wieś w 1933 i 1937 r. Zaostrzająca się wówczas walka SL z sanacją (bojkot wyborów w 1935 r., manifestacje i strajki chłopskie w latach następnych) wciągała zresztą cały ZMWRP, który po zjednoczeniu stronnictw chłopskich w 1931 r. uznał SL za jedynego politycznego reprezentanta ruchu ludowego i swojego sojusznika. W ogniu tych walk krystalizował się w ruchu wiciowym nurt lewicowy, antykapitalistyczny. Sam zaś Związek w stosunku do reżimu sanacyjnego przeszedł ewolucję od pozycji krytycznych, ale nie opozycyjnych, do stanowiska konsekwentnie antyrządowego, co nastąpiło w latach 1930—31. Dlatego też sanacyjna administracja, usiłując zdławić polityczny ruch ludowy, ze szczególną zawziętością prześladowała ruch wiciowy, który będąc „cementem jedności ruchu ludowego" wywarł decydujący wpływ na przemiany, jakie się w nim dokonały w latach 1931—1939.

Szczególne nasilenie szykan ze strony władz administracyjnych wobec ruchu wiciowego przypada na okres 1935—1937, gdy w Związku wzmogły się tendencje radykalne, a poszczególne organizacje wiciowe podjęły współpracę z organizacjami młodzieży robotniczej, lub też ich działacze pozostawali w bliskich kontaktach z komunistami, jak to miało miejsce np. w powiatach krasnostawskim, tomaszowskim, zamojskim.

ZMWRP był systematycznie atakowany i przez kler. Z ambon kościołów wiejskich padały gromy na „bezbożne" „Wici", wzywano rodziców, by zabraniali młodzieży należenia do organizacji. Ataki reakcyjnego kleru na ruch wiciowy wzmogły się po 1935 r., kiedy Walny Zjazd ZMWRP wypowiedział się za radykalną przebudową ustroju społeczno-gospodarczego w Polsce i kiedy wśród młodzieży wiciowej przejawiło się wyraźne dążenie do współpracy z ruchem robotniczym w ramach frontu ludowego.

Również zajadle zwalczała ruch wiciowy endecja. Niejednokrotnie bojówki endeckie rozbijały zebrania kółek wiciowych, dokonywały napaści na działaczy.

Przeciwstawiając się sanacji, endecji i klerykalizmowi „Wici" szukało trzeciej drogi między sanacją, a obozem rewolucyjnym, idąc śladami Stronnictwa Ludowego poszukującego wypadkowej między kapitalizmem a socjalizmem. Ruch wiciowy jednak w ostatnich latach przedwojennych w działalności politycznej rozwijał się coraz bardziej pod wpływem lewicy. Wezwanie skierowane przez Komunistyczną Partię Polski w 1935 r. do wszystkich organizacji robotniczych i chłopskich w sprawie utworzenia frontu ludowego znalazło żywy oddźwięk wśród wiciowców. Młodzież wiciowa, mimo oporów istniejących w wielu środowiskach tego ruchu, a w szczególności w kierownictwie ZMWRP, co do współpracy z komunistami, rozumiała potrzebę współdziałania chłopów i robotników.

Obradujący w październiku 1935 r. Walny Zjazd ZMWRP w przyjętej rezolucji — będącej wynikiem kompromisu pomiędzy umiarkowanym i radykalnym skrzydłem „Wici" — stwierdził, że „w dążeniu naszym do porozumienia chłopskiego ruchu ludowego z ruchem robotniczym będziemy współpracowali z Organizacją Młodzieży TUR oraz tymi organizacjami młodzieży robotniczej, które będą wobec nas występowały łącznie z TURem", co można było rozumieć jako postulat współpracy z KZMP (odrzucanej przez kierownictwo „Wici"), jeśliby stworzył z OMTUR jednolity front.

W tym okresie w poczynaniach Związku obok pracy oświatowo-wychowawczej coraz większą rolę zaczynała odgrywać działalność polityczna. W samej organizacji nastąpiła polaryzacja stanowisk. Na przełomie 1935 i 1936 r. zarysowały się w „Wiciach" dwa wyraźne nurty różniące się między sobą stosunkiem do sojuszu chłopów z robotnikami i sprawy frontu ludowego. Za frontem ludowym wypowiedzieli się działacze o bardziej radykalnych poglądach, sympatyzujący z lewicą ruchu robotniczego i domagający się — w odróżnieniu od przeciwników frontu ludowego — bardziej aktywnej postawy Związku w walce z dyktaturą sanacji i całą prawicą społeczną. Stworzyli oni ośrodek lewicowej, radykalnej myśli w postaci „Chłopskiego Życia Gospodarczego", pisma wydawanego w latach 1935—37, którego naczelnym redaktorem został Stefan Ignar. Nie odrzucając ideologii ruchu wiciowego w całości, działacze ci zajmowali krytyczne stanowisko wobec niektórych koncepcji agrarystycznych, wskazywali na klasowe rozwarstwienie wsi i wypowiadali się za współpracą ze wszystkimi organizacjami ruchu robotniczego, w tym i komunistami. Stanowisko to znalazło swój wyraz w złożeniu podpisu przez działaczy wiciowych, obok podpisów przedstawicieli KZMP i OMTUR, pod Deklaracją Praw Młodego Pokolenia, opublikowaną w 1936 r. na łamach wileńskiego „Po prostu". W dokumencie tym, stanowiącym platformę działania młodzieży robotniczej, chłopskiej i inteligenckiej, domagano się „jasnego ludzkiego życia, prawa do pracy i oświaty, do szczęścia i ogniska domowego", łącząc swoje dążenia „z dążeniami mas ludowych Polski walczących przeciwko reakcji i wyzyskowi — o Polskę Ludową".

Deklaracja, której podstawowym hasłem było: „Dla wszystkich w życiu równy start", stanowiła wyraz idei współdziałania młodzieży robotniczej i chłopskiej, idei dojrzewającej w świadomości młodego pokolenia, w której upowszechnienie wniosła swój wkład i młodzież wiciowa, stanowiąca najbardziej aktywną i postępową siłę w ruchu ludowym.

Kamena str. 9

Nierówna trójka

TEATR im. Juliusza Osterwy powitał tegoroczną wiosnę wręcz gorączkowym nasileniem premier: 27 marca Międzynarodowy Dzień Teatru uświetnili „Emigranci" Mrożka, 1 kwietnia (ryzykowna data!) przyjaciół naszej zawodowej sceny dramatycznej zaskoczyła prezentacja dwóch żartów scenicznych Czechowa, dokładnie zaś po tygodniu, już 8 bm., na stare, zasłużone lubelskie „deski" weszła Strindbergowa „Panna Julia". Skoro tak, to będąc uzależniona od cyklu produkcyjnego dwutygodnika, a nie chcąc, by pomawiano „Kamenę" o nienadążanie, decyduję się na szybkościową, łączną ocenę owego „małego festiwalu" Teatru Osterwy.

A więc, po wybitnym sukcesie „Egzaminu" Gawlika w reżyserii Józefa Słotwińskiego, ze wzmożonym zainteresowaniem oczekiwaliśmy „Emigrantów", których wziął na warsztat również ten ceniony reżyser warszawski. „Emigranci" to chyba, obok „Tanga", najbardziej ważka sztuka Sławomira Mrożka.

Mnie osobiście udało się ją widzieć po raz pierwszy jesienią 1974 r. w paryskim Théâtre d'Orsay, w reżyserii Rogera Blin (który, nawiasem mówiąc sprowadzony w r. 1970 przez PPIE — Estradę, pokazał w Lublinie „Końcówkę" Becketta). Wydaje mi się że koncepcja byłego współpracownika „teatru okrucieństwa", polegająca na utrzymaniu spektaklu „Emigrantów" w nastroju wyłącznie tragicznym, była nieomylna w odniesieniu do publiczności francuskiej. Sprawa bowiem fatalnych skutków psychicznych, jakie pociąga za sobą oderwanie człowieka od ziemi rodzinnej, ma nośność wszechświatową i aktualność tak dziś ostrą jak nigdy.

Sądzę natomiast, że wystawiana u nas w kraju, sztuka nie traci na powadze, jeżeli przedstawienie będzie przekazywać z właściwym umiarem cechujący niektóre sceny gorzki humor Mrożka. Otóż w tym miejscu nasuwa mi się uwaga, że dowcip ten nie osiągnął swej waloryzacji teatralnej w premierowym spektaklu „Emigrantów" na lubelskiej scenie. Jestem wszak przekonana, iż da się to nadrobić w dalszych spektaklach, gdyż sztukę Mrożka obsadzono utalentowanymi, doświadczonymi aktorami. Chodziłoby przede wszystkim o „korektę" do tonu dialogu dotyczącego „uciech" jakoby zaznanych przez XX na dworcu kolejowym, jedynym miejscu, gdzie nikt nie jest o b c y.

Kazimierzowi Siedleckiemu, który zdobywa sukcesy w rolach tak dalece różniących się, jak Rakitin z „Miesiąca na wsi" a marynarz-rewolucjonista z „Niespokojnej starości" Rachmanowa, powierzono postać emigranta-robotnika. XX jest w swoich dążeniach typowym robotnikiem ciułającym latami na obczyźnie drogi pieniądz, zdobyty pracą, która zrujnuje mu zdrowie. Skazuje siebie na nieludzką egzystencję w przekonaniu, że wróci do kraju i olśni rodaków swym dorobkiem: *Zaprosi się całe miasteczko... zarżnie wieprzka, cielaka albo krowę... Nakupi się wódki... Niech mają, niech się cieszą, niech widzą, że pan z zagranicy przyjechał. A te wszystkie rzeczy co ja tu kupię i tam przywiozę, będą wystawione w sieni, każdy sobie popatrzy...* A kiedy skończy się zabawa, zacznie budować dom. Najładniejszy dom w okolicy... Takiego tedy pułapu sięgają marzenia robotnika z „Emigrantów".

W przeciwieństwie do niego, emigrant-intelektualista AA (którego gra Zbigniew Sztejman, znakomity Artur z „Tanga" w 1966 r.), uważający siebie niegdyś za *drogocenną komórkę najwyżej rozwiniętej substancji mózgowej*, pochłonięty jest rozważaniami teoretycznymi. O różnych postaciach niewolnictwa. To pisanie zawiłego opusu skłoniło AA do dziwacznej, niespójnej symbiozy z prostakiem XX, w którym upatruje materiał na idealnego niewolnika pieniądza.

Przypuszczać można, iż autor uczynił ze swego XX nieomal debila celem spotęgowania kontrastu między postaciami i pomiędzy gatunkami ich wyobcowania, albowiem im ten kontrast jest jaskrawszy, tym wymowniejsza okazuje się tęsknota ich obydwu za krajem. Toteż pragnęłabym, by w dalszych spektaklach „Emigrantów" na scenie Teatru Osterwy kontrast ów był utrzymany w całej swej ostrości, co wymaga przede wszystkim przestrzegania zasady, że XX nie jest adresatem znacznej części wypowiedzi AA, stanowiących raczej ujawniony monolog wewnętrzny.

W sumie wszakże lubelska realizacja znakomitej sztuki Mrożka jest ambitnym osiągnięciem zarówno aktorów: Kazimierza Siedleckiego i Zbigniewa Sztejmana, jak ich niezawodnego reżysera, Józefa Słotwińskiego, który oby jak najściślej współpracował z Teatrem im. J. Osterwy. Niemałą zaletę spektaklu stanowi jak zawsze scenografia Liliany Jankowskiej, pomysłowo kameralizująca piwniczne wnętrze z jego rurami które dotkliwie przekazują tragicznym obcokrajowcom odgłosy sylwestrowe bawiących się „u siebie" burżua.

Zgoła inaczej miały się rzeczy z premierą 1 kwietnia. Dramaturgii Czechowa, cieszącej się coraz większą sławą i wzięciem na szerokim świecie, jakoś nie powiodło się w Lublinie. Wystawiono tu jedynie, w r. 1966, „Wujaszka Wanię" i na tym koniec. Wobec takiej sytuacji zaprezentowanie obecnie przez teatr zawodowy dwóch żartów scenicznych znakomitego klasyka, skoro od lat nie pokazywano tu jego arcydzieł, graniczyło po trosze z nietaktem. Nieporozumieniem była nadto „koncepcja" reżyserska Janusza Ostrowskiego, nastawiona na wtłoczenie psychologicznego żartu retro w ultraawangardowe opakowanie. Z przykrością bowiem muszę stwierdzić, że dekoracja ogromnie cenionej przeze mnie Teresy Targońskiej tym razem — dowcipna sama w sobie, tj. w oderwaniu od tekstu, któremu miała służyć — pasowałaby może (swą ostentacyjną pstrokacizną i aglomeracją cebulastych kopułek) do jakiejś zaadaptowanej prozy Gogola, lecz stała w absolutnej sprzeczności z duchem utworów Czechowa.

Z kolei kostiumy: Natalii (grała ją Krystyna Torończyk), jej ojca (Ryszard Kolaszyński) w „Oświadczynach" oraz krewkiego sąsiada-wierzyciela (Janusz Ostrowski) w „Niedźwiedziu" również kłóciły się ze stylem pisarza i z autentyzmem realistycznych przecie jednoaktówek. Akcja obydwu toczy się, jak wiadomo, w dworach ziemiańskich, czemuż tedy zażądał reżyser dla panów zgrzebnych koszul i portek (niczym jak dla *mużików*), a dla panny — krótkiej, rozłożystej spódnicy, dopingującej do tak zuchwałego rozkraczania nóg, na jakie nie pozwoliłby żadnej chłopskiej dziewczynie noszony w Rosji wąski *sarafan*.

Ale puśćmy lepiej w niepamięć owo niefortunne przedstawienie, do którego niepotrzebnie wciągnięto paru cenionych aktorów. Chcąc jednak zaliczyć tu coś na dobro Janusza Ostrowskiego, odnotowuję wrażenie, że teatr zdobył w jego osobie nienajgorszego aktora („temperamentne" przejęcie się konkurami „niedźwiedzia"). Natomiast muszę obstawać przy zdaniu, że powierzenie młodemu reżyserowi na krótkim dystansie czasu aż trzech odpowiedzialnych inscenizacji („Celestyna", wspomniane jednoaktówki Czechowa, „Panna Julia" Strindberga) było ryzykiem, które nie dało dobrych rezultatów.

Otóż właśnie — „Panna Julia"... Oczywiście nie jest winą reżysera, że ta w swoim czasie jedna z najbardziej chwalonych sztuk Augusta Strindberga nie przynosi dzisiejszej widowni problemów aktualnych. Jest nadal interesującym studium psychologicznym i psychopatologicznym — to prawda, ale rozpacz panny „z dobrego domu" po popełnieniu „grzechu" ze służącym nic a nic ludzi dzisiejszych nie obchodzi, jako też dawno dokonany proces przemieszczenia warstw socjalnych Szwecji. Lecz z chwilą gdy sztuka została wystawiona, kto wie, czy nie na życzenie Janusza Ostrowskiego, przyjmuje reżyser na siebie odpowiedzialność przede wszystkim za właściwe ustawienie dwóch głównych ról, znakomicie napisanych przez autora. Niestety (jakże nie lubię tego często nieuniknionego słowa!), tak — niestety, i w tym przypadku reżyser popełnił niewybaczalne błędy, zwłaszcza w stosunku do postaci Jeana.

Zastanówmy się trochę: jakim mężczyzną grubo poniżej własnej rangi może zainteresować się ekscentryczka pokroju Panny Julii? *Cavemanem?* Owszem, ale Strindberg widział Jeana inaczej. Zresztą i Janusz Ostrowski nie robi z owego przygodnego amanta *cavemana*. Ostrowski zwyczajnie przerabia wytwornego aktora Piotra Wysockiego na dość pospolitego prostaka, nieporadnego w ruchu rąk, w dodatku obdarzonego jakimś sztucznie pogrubionym, chropowatym głosem, co, razem wzięte, całkowicie rozmija się z tekstem postaci i razi szczególnie w pierwszej części spektaklu. Bo wiemy przecie, że Jean nabrał „pańskiego" poloru służąc przez szereg lat w arystokratycznych domach, a chociażby i jako kelner w superelegancckim hotelu szwajcarskim podpatrując dobre maniery turystów z wyższych kręgów towarzyskich. Zresztą nauczył się francuskiego, ma jakieś lektury. Skłonna jestem uważać Jeana za swego rodzaju postać pozytywną, za materiał na *selfmademana*, że użyję jeszcze jednego angielskiego wyrazu. W gruncie rzeczy, równolegle do swego praktycyzmu, potrafi on ostrzegać Julię jak dżentelmen przed jej „upadkiem", zaś po faxcie (akcie) dokonanym wykazuje sporą dozę humanizmu.

Niewiele lepiej ustawił reżyser rolę tytułową. Grała ją utalentowana, pełna wdzięku, młoda aktorka Małgorzata Niesiałowska. Cóż, kiedy nie dopracowano jej sytuacji w pierwszej części spektaklu, redukując skomplikowany charakter dziewczyny z dziedzicznymi obciążeniami patologicznymi — do pustoty zalotnej trzpiotki, a wyraz aktorski do jednostajnego ruchu obrotowego tudzież wymachiwania ramionami. W drugiej zaś części przedstawienia gdzie artystka wykazała się subtelnym różnicowaniem odcieni psychologicznych, zaniedbał reżyser dopilnowania, by dramat nie przeistaczał się w paru momentach w niesmaczny melodramat.

Stanisław Mrożek — „Emigranci". Kazimierz Siedlecki (XX) i Zbigniew Sztejman (AA)
Fot. Z. Zugaj

Do plusów lubelskiego spektaklu „Panny Julii" z satysfakcją zaliczam odtworzoną w każdym calu trafnie przez Barbarę Koziarską postać Krystyny, narzeczonej Jeana, z jej tradycyjnym pojęciem godności swego stanu kucharki, która służy tylko u „przyzwoitych państwa". Znakomita jest też w tej sztuce scenografia, rehabilitująca prestiż Teresy Targońskiej po przypadkowym niepowodzeniu w jednaoktówkach Czechowa.

Również należy się uznanie Teresie Targońskiej za ekspozycję, a Stefanowi Münchowi za scenariusz, odkrytej w sali „Reduty 70" wystawy pamiątek związanych z historią teatru lubelskiego (które omówię przy najbliższej sposobności.)

Summa summarum, mimo zarzutów wytoczonych tu w stosunku do ostatnich dwóch premier, poprzedzająca je dobra inscenizacja „Emigrantów" pozwala oczekiwać nowego sezonu Teatru im. J. Osterwy w nastroju raczej optymistycznym.

M. B.-R.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

Kamena str. 10

PRZED 100 LATY

● Rozwój fabryczny u nas ha coraz szersze wchodzi pole. W dniu 13 bm. została zawarta przez panów Feliksa Rzewuskiego, Walderowicza i Perimutera Spółka Komandytowa w celu otworzenia fabryki narzędzi rolniczych i wozów Wejcherta, o których już poprzednio wzmiankowaliśmy. Spółkę tę zakładają ludzie zamożni a zarazem dobrzy fachowcy, jest zatem nadzieja, że nowo mająca się otworzyć fabryka w Szydłowcu pod Radomiem nie będzie krępowana brakiem sił tak materialnych jak i moralnych, mamy obiecane przesłanie w miesiącu maju dwóch wozów nowego pomysłu, dla odbycia proby. O ile wiadomo, w roku zeszłym, kilkadziesiąt takowych uznanych za praktyczne w tamtejszej okolicy rozeszło się. Może też przyjdzie czas, że i nabywanie narzędzi rolniczych przy silniejszej konkurencji będzie bardziej możliwe dla rolników, gdyż ceny dotychczasowe były niepraktykowanie wysokie, przypisać to jednakże można tylko brakowi zdolnych robotników, dobrze obznajmionych z robotami fabrycznymi, a im więcej będziemy mieli fabryk, tym więcej fachowych ludzi będziemy wykształcać.

„Gazeta Lubelska"

PRZED 50 LATY

● Chlubą Polski jest piękny i bogaty ogród zoologiczny w Poznaniu. W ślad za Poznaniem idzie Warszawa i inne miasta Polski. Ogród zoologiczny zapoczątkowano również i w naszym Lublinie. W rozwoju tego zwierzyńca Lublin jednak nie ma szczęścia. Rok w rok sprowadza się nowe okazy i rok w rok okazy te marnieją i giną. Świadczy to wymownie, że zwierzyniec lubelski w obecnych warunkach nie ma widoków rozwoju. Niefortunnym jest przede wszystkim wybór miejsca na urządzenie zwierzyńca. Nigdy zwierzyniec nie powinien być w ogrodzie-parku, który stanowi płuca miasta. Terenem odpowiednim jak już niejednokrotnie wskazywaliśmy jest plac przy Al. Długosza, gdzie znajduje się obecnie szkółka drzewek. O sprawie tej pomyśleć winni gospodarze miasta. Pozostawienie zwierzyńca w obecnych warunkach w ogrodzie Saskim równa się jego powolnej zagładzie. Dowodem tego, że z licznych okazów zwierzyny do obecnej chwili pozostał jedynie wilk, małpa (w stanie opłakanym) 4 lisy, kuna, 3 tchórze, chomik i trzy świnki morskie. Reszta zmarnowała się, a szkoda, bo tego rodzaju „instytucja" dla miasta, które ma pokaźną liczbę młodzieży szkolnej, ma doniosłe znaczenie kulturalne. Jesteśmy, z tego powodu zdania, że zwierzyniec lubelski otoczyć należy troskliwszą opieką i postawić na wyższym poziomie. Niedaleko od nas leży Zamość, który winien nam posłużyć za wzór.

●

Wczoraj rozeszły się po Lublinie alarmujące pogłoski, że na dochody gazowni miejskiej został nałożony areszt.

Pogłoski te, po sprawdzeniu okazały się, niestety, prawdziwe. Gazownia miejska otrzymała istotnie wezwanie do wpłacenia swoich wpływów na ręce komornika egzekwującego z wyroku lubelskiego Sądu Apelacyjnego należność od Magistratu na rzecz właściciela wodociągów inż. A. Wejsbiasta.

Wytworzona w ten sposób sytuacja może doprowadzić do zupełnego zahamowania gospodarki miejskiej i grozi szeregiem nieobliczalnych konsekwencji w najbliższej przyszłości, a w każdym razie już obecnie stwarza szereg trudności Zarządowi miasta.

„Ziemia Lubelska"

Wybrała: Anna Orzechowska

Rewolucja i miłość

Dokończenie ze str. 1.

Trzynaście lat miałam — umiera mi ojciec. Mama chora na astmę. Płacze mama..."

*

„Jeszcześmy mieli w Końskowoli domeczek swój, ano i jeszcze ogródka kawałek było, ale potrzebno soli, potrzebno nafty, drzewa kupić trza, podatki zapłacić, ubrać się, i mama płacze... Po cichutku, w poniedziałek rano powiedziałam siostrze cioteczneJ, co chodziła u nas w Końskowoli do fabryki: „Powołaj mnie!"

Wstałam o godzinie piątej i do Niemca, do Gedero, poszłam — a był bardzo porządny człowiek! — żeby mnie przyjął. A on patrzy na mnie:

— I cóż ty dziecko będziesz robić? Takie szczupłe, młode dziecko!

A ja mówię: — Proszę pana, ja muszę robić.

— A dlaczego ty musisz robić?

— Bo mam matkę chorą, a ojciec mi umarł.

— A jak się twój ojciec nazywał?

— Mój ojciec na chórze śpiewał. Sikora.

— Bardzo porządny człowiek... Więc będziesz pracować — powiada ten Gede.

On grał w orkiestrze, pomimo że Niemiec. U nas była orkiestra bardzo dobra, porządna, więc on grał w orkiestrze i znał mojego ojca...

Pocałowałam go w rękę, nie dawał się, ale go pocałowałam.

Pracowałam przez tydzień, zarobiłam srebrnego rubla. Proszę państwa! Jak tego rubla zarobiłam, i trzymałam go w ręce, to... niosę i patrzę, czy to jest prawda, czy to mi nie wyfrunie?! Przyleciałam do domu i kładę na stole tego rubla... A mama stoi, patrzy patrzy i płacze.

— Czego mama płacze? Za mało zarobiłam?

— Nie, dziecko. Nie tego płaczę. Płaczę, że mi Bóg jednego pracownika wziął, a drugiego dał.

Pocałowała mnie mama w głowę. No i takeśmy żyły, dobrze nam było."

*

„U nas, w Końskowoli, były wtenczas fabryki, a w fabrykach, wśród ludzi, partia była. Nielegalna partia. Socjal-Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy. Przyjeżdżali do nas różni — z Puław, z Warszawy, podobno i sam Dzierżyński Feliks — i mówili o nierówności społecznej, o wyzysku człowieka przez człowieka. Jak miałam szesnaście lat do tej partii wstąpiłam.

Świderski też tam był. Działaczem na całą Końskowolę był... I patrzał on za mną. Jak patrzał! Musi ja byłam ładna... Podobno.

Więc do partii wstąpiłam... Wszystkie ulotki to przecież ja rozdawałam na wioski! Tu był, o tu, w Kurowie, taki nieduży... Jak on się nazywał?... Diupero Janek! I on mi przynosił ulotków pół puda! W nocy zapukał, a ja miałam drwalkę taką, tam wynosiłam. A później klajstru się narobiło — i rano już pełno tego na mieście... Ulotek. I na wieś jeszcze rozdawałam... Więc ja — socjalistka! Mama płacze. „Tak trzeba, mamo — nie masz syna, to ja muszę za syna..."

Kiedyś Świderski przyszedł i mówi:

— Wiesz, u ciebie będziemy mieli zchód taki... Będziemy się schodzić, i z Puław — powiada — będzie przyjeżdżał taki brodaty taki student. — Ten student miał pseudonim „Gołąb".

Szkoda mi było mamy, że mogę w więzieniu siedzieć. Bo już rewolucja szła i było bardzo niebezpiecznie. Ale myślałam, jak nas wykryją... posiedzę najwyżej... I oni przychodzili, narady ciągnęli.

Lis też przychodził. Lis Franciszek z Kurowa. Sławny człowiek. Pseudonim — „Kożuch". Bojówkarz słynny. Najbardziej niebezpiecznymi akcjami dowodził.

Aż kiedyś powiada Janek.

— Kryć się będę musiał. Policja jest na naszym tropie, partia w zagrożeniu, rewolucja w zagrożeniu. Na siebie uważaj, obcym nie ufaj, na mnie czekaj. Jak będę mógł — przyjdę, dam znak.

I ja czekałam..."

*

„Jest Boże Narodzenie. Godzina może dwunasta, może nie było dwunastej jeszcze. Puka ktoś w szybę trzy razy. Ano wiem, że to mój narzeczony. Był z kolegą, Aleksandrem Formajstrem. Koleżanke miałam, co u nas akurat nocowała, Florcia Gawrońska. To ona z Formajstrem Olkiem rozmawiała, a ja ze Świderskim. Nareszcie, jak już przejaśniać się miało, musieli wiać!

Jeszcze do okna przyszedł później dwa razy. Że jeszcze jest na wolności, że chodzi po Końskowoli... Narzeczony...

Idę ja raz do fabryki, patrzę: na placu — tam były kiedyś jarmarki — narodu tyle! patrzę: wojsko! patrzę: co jest? Ano — Janek z Formajstrem! Związali ich do kupy, i stoją...

No, już po Janku!

Zabrali go i już.

Był w Puławach na razie. Ażeby się z nim widzieć, poprosiłam fabrykanta, by mnie zwolnił na trzy dni... Poszłam do śledczego — tego sędziego, co ich wzywał do siebie, do mieszkania, bo był chory, na gruźlicę był chory — poszłam niby w odwiedziny do kuzynki. Bo ja miałam cioteczną siostrę, była kucharką u tego sędziego.

Trzy dni u niej czekałam na okazję, żeby Janka zobaczyć jak go z więzienia przyprowadzają. Piętnaście funty mi ubyło przez trzy dni!

Jak wróciłam do Końskowoli, pyta mnie mama:

— Gdzieś ty była?

— Mamo, nigdzie nie byłam na łajdactwie. Byłam, bo potrzeba było.

— Oj, co ty robisz, oj, co ty robisz, marnujesz się, narażasz się!

— Mamo, próżne gadanie. Ja muszę przy Janku być! — I zaśpiewałam mamie: „Pobudzaj siostro do walki brata, aby do boju odważnym był...."

*

„I była sprawa. W Cytadeli w Warszawie. Tam, gdzie na stracenie sądzili. Sam Skałon, gubernator Warszawy, był na tej sprawie!

Było ośmiu adwokatów. Czterech rządowych, a czterech naszych — za Partią. Jeden był Patek... Ach, mówca! Miał karafkę z wodą, szklankę, i coraz tej wody troszkę wziął w usta — i prażył im! Jeszcze pamiętam te słowa najważniejsze: „Smotritie w swoju... Zajrzyjcie w swoje sumienie! I wy rodzice jesteście, macie dzieci. Jak wy możecie taki kwiat ścinać! Stoi ojciec, stoi matka, mdleje, a wam — powiada ten Patek — włos na głowie nie zadrży! Możecie zabić, zamordować, wszystko wam wolno!"

A ci nasi chłopcy siedzieli, mieli takie ławeczki, i siedzieli po trzech, po trzech. A wojsko, z karabinami, za nimi.

I na śmierć ich, tych chłopców, skazali..."

*

„Jego matka, jak odczytywali wyrok, że na śmierć osądzony Janek:

— Weźcie i mnie! Nie puszczę go! Weźcie i mnie! — krzyczała.

Policja porwała na niej suklenkę... A Patek poszedł do domu, nie odstąpił, wziął matkę Janka:

— Niech się pani uspokoi, musimy działać, ale już! prędko!

Bo to na stracenie zdaje się... dwadzieścia cztery godziny i już... Tak.

Więc ten Patek — telegram do cesarzowej! Cesarzowa ułaskawiła Formajstra na dwadzieścia lat ciężkich robót, a Janka na piętnaście lat.

Pisał do mnie Janek Świderski piękne listy z więzienia. Pisał tak:... „Wyobraź sobie moja kochana wiedzieliśmy, gdzie stracenie, gdzie ta szubienica jest; przyjechała karetka, biorą nas. — Olek — powiedziałem do Olka Formajstra — żegnajmy się z tym światem. Koniec naszego życia, naszego istnienia. Olek zapłakał. I ja też zapłakałem. Pocałowaliśmy się: — No, żegnaj na zawsze! — Wsiadamy do karetki, ale ...jedziemy, jedziemy — jakoś ...daleko. Nie tu, gdzie stracenie. Mówię do Olka: — Ty, Olek, coś się zmieniło — mówię. Przecież wiesz, gdzie powieszenie, gdzie ta szubienica. A my gdzieś za daleko jedziemy. Naraz, patrzę, gdzie wysiadamy? — Mokotów! Ano, tak więc i piszę do ciebie pierwszy list..."

*

„Parę listów napisał, a przysyłał mi piękne rzeczy! Taką ...eliptowatą jakbyś, deseczkę: gołąbek na niej, pieczęć czerwona — list z chleba. Piękne róże! Różnego koloru — te listeczki takie zielone, śliczne, a tu tak jakby wstążka zawiązana ładną kokardą — to z chleba wszystko! Ach! Cała Końskowola przychodziła do mnie oglądać! Ksiądz Skórzyński mówił:

— Sprzedaj mi te róże, daj mi te róże, dobrze ci — mówił — zapłacę.

A ja: — Dla mnie nie ma zapłaty! To jest moje bardzo drogie! Tego — nikomu!...

Ale, niestety, na ścianie powiesiłam, robaki toczyły, toczyły i stoczyły...

A później Janek pisze tak: „Jakbyś chciała przyjechać, wzięlibyśmy w więzieniu ślub, ja bym był pod dozorem policji, zarabiałbym, bylibyśmy już razem". I jego matka przychodziła żebym ja z nim pojechała. Na wygnanie.

A moja mama płacze... I ja mówię:

— Pani Świderska, ja tego zrobić nie mogę! Niech on zrozumie, że matkę mam chorą, siostrę mam młodszą, że ja dla nich jestem wszystkim. Nie, nie, nie mogę... Napisałam: „Daruj, kocham cię, ale... nie mogę matki opuścić".

Na koniec, biorą z więzienia grupę, biorą Janka Świderskiego, wysyłają na Syberię. No i pojechali.

I pisze mi stamtąd Janek, że jest krawcem, szyje dla więźniów ubrania, bieliznę, wszystko. W ogrodzie ma maszynę, i — powiada: „Wszystko mam w ogrodzie, co chcę to mam — tylko nie ma ciebie..."

*

„Później przechodzi dużo lat i jest przewrót w Rosji. Wypuszczają więźniów. Otworzyli więzienia — idźcie sobie!"

*

„Ja już byłam za mężem, miałam czworo dzieci... I naraz, mówią ludzie, że przyjeżdża Janek. Że Janek przyjeżdża z Rosji! A potem mówią, że już przyjechał, że jest w Końskowoli.

I dnia pewnego widzę, że on... na ulicy naszej stoi. I naraz patrzę, a on idzie do mnie...!

Nigdy go przedtem — za narzeczeństwa — nie pocałowałam. Nigdy. Bo to był grzech, dawniej, a moi rodzice byli bardzo religijni. Ale wtedy, po powrocie z wygnania, w twarz go pocałowałam... Ja jego, a on mnie w obie ręce pocałował...

— No i cóżeś ty zrobiła?! I cóżeś ty zrobiła?

— Janek! Nie mów pod tym względem ani słowa. Ja... przecież nie mogłam czekać. Nie wiedziałam, że ty powrócisz. Po dwunastu latach! Czy tam po dziesięciu... Czy ja wiedziałam, że ty ale tam nie ożenisz? Więc działaj... Możesz być mi tylko bratem. Ja brata nie mam, więc jesteś mi bratem. I... i się skończyło... Przychodź do nas. Mój mąż jest bardzo inteligentny. Lubi dyskutować o Partii...

Przychodził."

*

„Potem i Janek się ożenił... i wszystko niby było w porządku. Ale razu jednego tak mi powiedział:

— Wiesz co, tak cię pragnę, że musi moja żona umrzeć i twój mąż! A my możemy się pobrać.

Mówię: — Janek! Odwróć te myśli od siebie! Ty byś nie kochał moich dzieci, tak jak mój mąż, ten prawy ojciec. A ja bym może twoich dzieci nie kochała? Ja cię kocham teraz, dziś, nie tak jak kochanka, albo jak narzeczonego. Ale jak brata! O tem nie myśl, ja już nie pragnę tego.

— Bo już zapomniałaś, nie kochasz mnie!

I tak poszło to wszystko. Tak..."

*

„A Janek długo nie żył. Pamiętam, w niedzielę to było, idzie on, mieszkał na tej samej ulicy: „Dzień dobry", „Dzień dobry". Patrzę na niego — trup chodzący! Zieje, łapie i łapie to powietrze i łapie... Mówię:

— Idź do męża, pogracie sobie w szachy lub w karty. Mąż siedzi sam, przykro mu się.

No i poszedł do męża... I później, jak wyszedł Janek, mówi do mnie mąż:

— Ten twój kochany — bo wiedział przecie...! — ten twój kochany, wiesz, ostatkami sił już goni...!

*

„Mąż kierował robotami w Zagożdżonie, ja do niego często jeździłam, a Janek... Janek w Końskowoli siedział, nie pokazywał się na mieście, chorował.

I raz, jak w tym Zagożdżonie długo się jakoś zasiedziałam, śni mi się, że mnie powołuje Janek: „Przyjdź koniecznie, muszę się z tobą widzieć".

Jedną noc mi się śni, drugą noc... W trzecią noc mi się śniło, że ja przyszłam tam do Końskowoli, przyjechałam na jego wezwanie, że ja przychodzę tam, a on leży — jak to dawniej tych trupów, to tak na podłodze kładli: prześcieradło, i na podłodze... I ja uchyliłam drzwi, tak pomalutku i wchodzę, a on leży, jeszcze żyje. Ale ja się krępuję, bo jest jego żona, rodzina. A on mruga oczami — tak mi się śni — mruga oczami, mruga... i powiada:

— Kto ci powiedział, że cię pragnę widzieć? Kto ci powiedział? Przybliż się do mnie kochana — chodź!

I tak, ręce... A ja podchodzę do niego, trochę się boję... już mało życia w nim, może mnie ścisnąć i... udusić z tej... zazdrości, ja wiem?

— Nie bój się, jestem bardzo przytomny. Wiesz, żeś przyszła — i podałam mu rękę, pocałował mnie w rękę — żeś przyszła do mnie, jeszcze trzy dni będę żył dłużej! Przybliżyłaś mi życie! Ta radość — powiada — we mnie weszła...

Już trzecia noc miała nadejść... Ja myję w miedzianej garnki jakieś i chcę wodę na dwór wylać.

I nagle... Nagle zaczęłam płakać. Mąż się pyta:

— Czego płaczesz?

— Wiesz? Nie mówiłam, trzecią noc mi się jedno i to samo śniło. Nie mówiłam do ciebie, bo jesteś zazdrosny... wiesz? Tak i tak...

— No, na pewno umarł. Na pewno umarł...

Ano, i przyjechali mularze w poniedziałek i mówią, że już nie żyje. Że umarł właśnie Świderski.

Rok nie zaśpiewałam piosenki.

Rok nie uśmiechnęłam się.

Tak mi go było żal. Tak mi go było strasznie żal...

Sercem go kochałam.

Bardzo".

Mirosław Derecki

P. S. Wiktoria Gembalowa nie doczekała tej publikacji. Zmarła w wieku lat bez mała dziewięćdziesięciu. Została pochowana w Kurowie. Grób Jana Świderskiego znajduje się na cmentarzu w niedalekiej Końskowoli. Niech odpoczywają w pokoju!

Kamena str. 11

HASIOR

Dokończenie ze str. 1

wyobraźni, powiedziałbym nawet, że słowiańskiej w szalonym klimacie emocjonalnym.

Dlaczego tylu ludzi przyszło obejrzeć Hasiora? Bo znany, sławny? No tak. Ale siłą największą, która 8 kwietnia ściągnęła o godzinie 18 kilkaset osób do sal BWA, była właśnie sama twórczość Hasiora. Jest ta jego sztuka zjawiskiem zupełnie wyjątkowym u nas, a rozpatrywana w pełnym swym kształcie formalno-materialnym i ideowym — chyba w świecie. Kilka lat temu pisała Bożena Kowalska: artysta „dokonał sakralizacji przedmiotu wyjętego z cmentarzyska cywilizacji. Pierwszy, przed rozpowszechnieniem tego kierunku na Zachodzie, stworzył sztukę pop-artu. Jego kreacja pop-artowska cała jest wyrazem proweniencji artysty: polskiej i ludowej. Wyrosła z korzeni wiejskiej, prymitywnej symboliki sakralno-obrzędowej, wzniosłości i żarliwości emocjonalnej i sama stała się kreacją metaforyczną. Odwołuje się do martyrologii narodowej, do świadectw świętokradztwa i bezczeszczenia przedmiotów narodowego i religijnego kultu."

A posiada tak szeroką publiczność — dodam — ponieważ my wszyscy, wychowani w specyficznej kulturze, o świadomości ukształtowanej przez dramatyczny splot wydarzeń wczorajszych i współczesnych, odnajdujemy w feretronach, obrazach i dramatycznych symbolach Hasiora te sprawy i myśli, które są nam bliskie, decydują o naszych postawach, napawają nas lękiem, albo nadzieją, grozą lub radością. Twórczość zakopiańczyka (urodzonego w 1928 roku w Nowym Sączu) pomaga nam w uważnej introspekcji, zmusza do nachylenia nad polskim losem zbiorowym, a tym samym kompromituje te wszystkie dążenia w sztuce dzisiejszej, które chciałyby sprowadzić twórczość do indywidualnej medytacji artysty nad sobą samym i nad dziełem, którego nie stworzył.

Jest takie słowo, nieco już sponiewierane nadużywaniem: zaangażowanie. Trudno, wprowadźmy je tutaj raz jeszcze, bo znakomicie pasuje zarówno do sztuki Hasiora, jak i jego postawy. Mam przy tym na uwadze nie tylko problematykę ideową owego dzieła, lecz również żarliwość i konsekwencję działania artysty. Hasior, autor prac współtworzących jakiś tragiczny spektakl, które Andrzej Banach uznał niegdyś za „złe sumienie swego czasu", niejeden mit negliżuje — prześladując także fałsz i banał na innym terenie. Pamiętam wystąpienie artysty podczas sympozjum „Wrocław 70", kiedy to uczeń Antoniego Kenara uzmysłowił nam plagiatorskie skłonności, jakie pojawiają się od dawna w rzeźbie pomnikowej. Hasior nadal zajmuje się tą kwestią zebrał na przykład ogromną, bo liczącą 3500 fotografii dokumentację polskich pomników, których mamy ogółem około 8000. „To bardzo bolesna kolekcja", mówi. „Dbamy o to, aby literatura była faktycznie polska, całkowicie lekceważąc ów problem właśnie na terenie rzeźby pomnikowej. A przecież pomnik to szalenie ważny fakt kulturowy. A jakie są te nasze pomniki? W większości stanowią one refleks „pyłów" krążących nad Europą. Podobnie obcym zjawiskiem jest na naszym gruncie konceptualizm, wymyślony za granicą przez plastyków najzwyczajniej w świecie znudzonych. Zresztą 15 lat temu było u nas szczególnie dużo konceptualistów, jako że artyści marzyli wówczas o tym, co by mogli zrobić, gdyby mieli możliwości. Tak... Do dziś nie udało mi się zrealizować pomnika, który stworzyłem dla Wrocławia, gdzie miał stanąć na środku Odry, wykonany m. in. ze szkła hartowanego. Rozpisano nawet konkurs architektoniczny na stosowne uporządkowanie tego fragmentu przestrzeni miejskiej, wykonano dokumentację, no i zabrakło — nie tyle środków, co dobrej woli. Mówią mi teraz, że może stanie ten pomnik na 35-lecie Polski Ludowej. Zobaczymy. Ostatnio zrobiłem pomnik dla tych, którzy bronili polskości na wybrzeżu koszalińskim — czy będzie on także dziełem „konceptualnym", utrwalonym tylko w projekcie?"

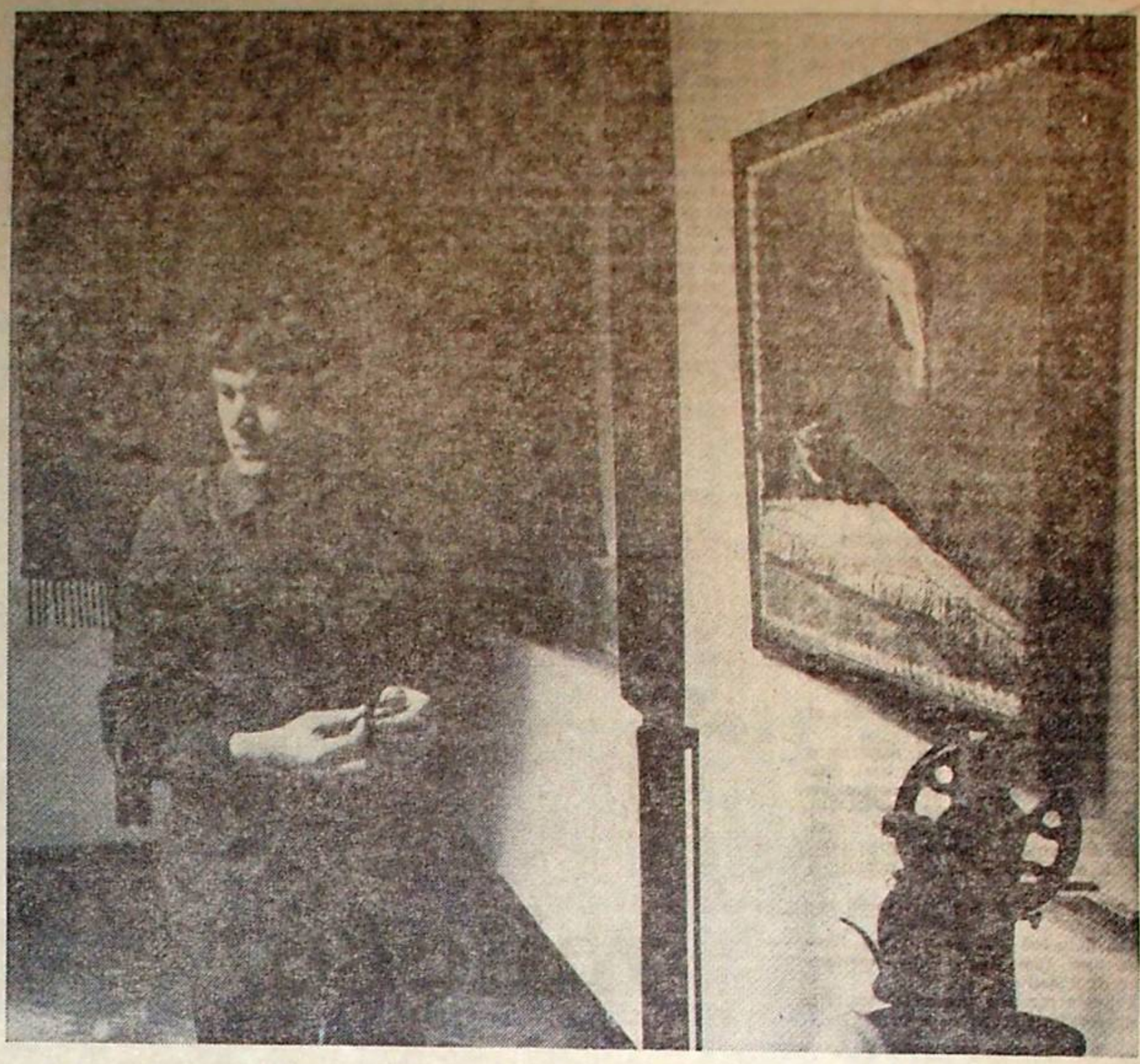

Hasior i jego prace — Fot. J. Trembecki

Niedawno w telewizyjnym „Pegazie" krytyk literacki określił Mirona Białoszewskiego mianem „człowieka tutejszego", ukształtowanego przez polską codzienność. Ta identyfikacja pasuje bezbłędnie także do Hasiora — serdecznego kolekcjonera okruchów naszej powszedniości. Podczas spotkania z publicznością w nałęczowskim pałacu Małachowskich artysta przedstawił kilkaset przeźroczy, na których uwiecznił efekty spontanicznej potrzeby tworzenia, demonstrowanej przez obywateli małych miast, zdobiących swoje domostwa, płoty i ogródki: a to malunkami w „pikasy", a to rzeźbami cudacznych zwierząt, a to wykpiwanymi przez kulturalnych publicystów (herbowych) lusterkami. I bronił Hasior zawzięcie owej twórczości, widząc w niej wyraz autentycznie plebejskiej wrażliwości estetycznej. No i co wy na to, szanowni państwo?!

Hasior jest znany w Europie, często podróżuje, ostatnio przebywał sześć tygodni w Finlandii, gdzie — w całej zresztą Skandynawii — jego twórczość przyjmowana jest z wyjątkowym zainteresowaniem. „Najchętniej wystawiam przecież w kraju, bo tutaj jestem najlepiej rozumiany, mogę z ludźmi porozmawiać, pospierać się. Artystowskie izolowanie się od społeczeństwa to nie moja sprawa. Cenię sobie spotkania z publicznością, które są dla mnie poważną przygodą. Chcę w pełni odpowiadać za to, co robię. Niektórzy krytycy przypisują mnie do surrealizmu, nie dostrzegając chyba, że mój „surrealizm" wychodzi z polskiego życia surrealnego, a nie z surrealizmu w sztuce".

Pierwsza książka o twórczości Hasiora ukazała się w 1961 roku. Potem były dziesiątki artykułów w prasie: fachowej i gazetowej. O absolwencie warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, który miast kontynuować studia w pracowni słynnego Zadkina uciekł z niej w prowincjonalny pejzaż zachodniej Europy, nakręcono filmy. Na temat jego twórczości chętnie wypowiadali się pisarze, na przykład Adolf Rudnicki i Aleksander Minkowski. Hasior wystawiał w najbardziej cenionych galeriach europejskich. I człowiek, który osiągnął sukces wyjątkowy, posiada rzadką dziś cechę: pokory niemal franciszkańskiej...

I J K

Niepokojący spokój

Dokończenie ze str. 3

jej skali. Bez przesady będzie to największa odlewnia w kraju, produkująca około 100 pozycji odlewów wielkoseryjnych (w seriach do 200 tysięcy sztuk). Jeśli na budowę huty „Katowice" zużyto 250 tysięcy ton stali, to budowa lubelskiej odlewni pochłonie 50 tysięcy ton, jedną piątą śląskiego kolosa (na samą halę główną odlewni pójdzie 34 tysiące ton konstrukcji stalowych).

Wartość urządzeń przyszłej odlewni sięga blisko sześciu miliardów złotych, wiele z nich to maszyny sprowadzone ze strefy dolarowej. Już przesunięcie ustawowego terminu uruchomienia odlewni zmusiło nas do przesunięcia terminów dostaw urządzeń, z 1978 roku na 1979. Urządzenia te, oczywiście, z roku na rok nie tanieją. Ponadto nie możemy się narażać na płacenie kar z tytułu niezamontowania urządzeń, nie mówiąc już o mijaniu terminów gwarancyjnych. A przecież ponad połowa dostaw dla odlewni została już potwierdzona przez zagranicznych kontrahentów i terminy odbioru biegną. To jedna sprawa, związana z niebezpieczeństwem przekroczenia ustawowej daty rozpoczęcia produkcji.

Po drugie — każde opóźnienie uruchomienia produkcji odlewni kosztuje nas dewizy. „Ursus" musi produkować ciągniki, choćby na spłatę kredytu licencyjnego, i jeśli nie stanie odlewów krajowych, będziemy je musieli kupować na Zachodzie, bo przecież odlewnie w Skłęczkach czy Nowej Soli nie załatwią podstawowych problemów, choćby nawet chwilowo. Kilogram odlewu kosztuje średnio — w chwili obecnej — 3 dolary; na ciągnik potrzeba blisko tonę odlewów.

Jest faktem, że nawet budowy priorytetowe nie zawsze są należycie koordynowane na szczeblu międzyresortowym. Jest drugim faktem, że priorytetów inwestycyjnych mamy w kraju sporo. Zdaje się, iż przyjdzie wybierać między priorytetami, przerzucając sławetne „moce produkcyjne". No i dobrze by było, aby duże przedsiębiorstwa budownictwa przemysłowego koncentrowały się na dużych zadaniach, nie rozdrabniając potencjału na pawilony czy baseniki (piszę z doświadczeń LPBP).

Odlewnia lubelska została zlokalizowana na gruntach I klasy, ale w końcu nie żal tych pszenno-buraczanych hektarów, skoro inwestycja ma służyć dynamicznemu rozwojowi rolnictwa. Opóźnienie jej uruchomienia daje się obliczyć nie tylko w kosztach finansowych. Także, a nawet przede wszystkim, staje się kwestią społeczną, bo chodzi przecież o rynek żywnościowy w naszym kraju; a więc staje się, powiedziałbym wreszcie kwestią polityczną. Jest jeszcze czas, żeby o tym pomyśleć.

Maciej Podgórski

Kamenu str. 12

Listy do Gerwazego

NIE wiem, kto pierwszy wpadł na pomysł śpiewania tekstów poetyckich. Czyniąc to zastrzeżenie nie mam jednakże na myśli, że te „tylko piosenkowe" nie są w jakimś sensie poetyckie. Ja na przykład zachowuję w pamięci parę tang, które do dziś wywierają na mnie duże wrażenie. Poezja to? Nie poezja? Nie mam ochoty rozstrzygać. Czuję je w uchu, pod warstwą świadomości, gdzieś tam, gdzie odbiera się wiersze. Owszem, zdaję sobie sprawę, że wielką w tym rolę odegrała towarzysząca im muzyka, a jeszcze większą sytuacja życiowa, w której się wówczas znajdowałem, ale chyba i samym słowom coś niecoś przyznać należy. W każdym razie dodaję to uzupełnienie, by nie wyglądało, że według mnie cokolwiek wpada w melodię, wypada z obszaru poetyckiego. Takiego junctim nie ma.

Ale kto pierwszy zaczął śpiewać poezję? Powiesiłbym drania na suchej gałęzi. Naśladowcom daruję, ponieważ owczy pęd nie tylko w piosence, ale w działalności pełnometrażowej artystycznie jest zjawiskiem tak nagminnym, że aż usprawiedliwionym. Wyróżnić, ale karać. Więc coś mi się przypomina, że termin „piosenka ambitna", „piosenka literacka" powstał w związku z „Karuzelą z Madonnami", którą napisał Białoszewski, a zaśpiewała Demarczuk. Kobietom kary śmierci przez powieszenie się nie aplikuje, mimo to zjawisko samo pozostaje czymś horendalnym. Łagodzi sprawę jedynie fakt, że sam wiersz jak wszystkie Białoszewskiego jest również horendalny.

Ale zastanawiam się: po co sięga się po tekst poetycki, kiedy chodzi o uzupełnienie jakimiś słowami melodii gitarowych? Z trzech powodów. Pierwszy to ten, że okresowo powstaje brak tekstów do śpiewania, bo muza tekściarzy wyjeżdża na wczasy. Drugi, że zaśpiewać Leśmiana, Tuwima, Gałczyńskiego jest znacznie nobliwiej niż... (niech mi wolno będzie przemilczeć, by ten i ów nie poczuł się dotknięty). Trzeci: a może to ja właśnie — podbechtuje nadzieję piosenkarz(-ka) — przyczynię się do wprowadzenia na szeroki rynek poety o nazwisku, ale mało znanego? Cóż za sukces. „Oto ten, który wprowadził Staffa". Czyż nie dopingu... przepraszam: nie stymulujące?

Do tylu już paradoksów w życiu kulturalnym przywykłem, że dałbym radę i temu. Obojętnością. Ale i moja obojętność złożyła broń, kiedy usłyszałem śpiewanego... Czechowicza. Był to wiersz „Przemiany" zaśpiewany przez Marka Grechutę dnia 26 marca 1978 roku (zapamiętać mi datę) w Tele-echu. Śpiewany Czechowicz? A niechże was gradobicie! W dodatku towarzyszyła temu atmosfera, jaką kiedyś na podwórko wprowadzała Grażynka, której się dostała nowa wstążka: zyg-zyg, wy nie macie. Wykonawcy piosenki opartej na tekście katastroficznego poety czuli się najwyraźniej solenizantami. Oto wpadli na szczęśliwy pomysł, oto ruszyli nowy nurt. Konkurenci tyle się biedzą nad nowym arangement, nowym przebiciem, nowym entree, a tu od razu wpadło. I cyk i pstryk — oto w jakim rytmie Czechowicz przewracał się w grobie.

Więc piosenka zyskuje? Już i to jest wątpliwe, ponieważ dobry wiersz rzadko kiedy ma tekst łatwo przyswajalny, a tylko taki z potykiem „sprzedaje się" w piosence. Ale są tacy — tu wzywam gradobicia po raz wtóry — którzy twierdzą, że zyskuje również poezja. No bo szeroka społeczna amplifikacja, „ożywienia martwej pozycji", włączenie w „krwiobieg" „systemu funkcjonowania". Właśnie — tym gorzej. Bo po pierwsze: czy trafia się pod wrażliwość społeczną, skoro takie wartości kultury jak Leśmian dopiero trzeba popularyzować, a po drugie: co z autora „Napoju cienistego" zmieści się w mikrofonie, na strunie gitary? Wszystko sponiewierane, odmierzone, w za krótkich i za przyciasnych spodniach. Tylko Kloton jest tu jako taki „zaprogramowany". Poetów takimi dopiero „trzeba" zrobić. Ale „udaje się". Żałośnie słuchać, kiedy z dobrej poezji pod wpływem estradowych wygibów zostaje kompromitująca bryja.

I ta filantropia w stosunku do wielkich. Norwidzie, bądź szczęśliwy, że masz swojego Niemena! Inaczej krztusiłbyś się dalej w bibliotecznym kurzu przerzucany co najwyżej przez badaczy literackich mroków.

I ta bezceremonialność w stosunku do epok. Empire, secesja, dwudziestolecie — wszystko z jednakową łatwością da się przełożyć na współczesną estradę, jak „Balladynę" na współczesną motoryzację.

A także sofistyczna argumentacja. Raz określenie „anachroniczny" wystarcza, żeby jakiś sposób „łatania sprawy" zdyskwalifikować, raz jest powodem nobilitacji, a przynajmniej usprawiedliwieniem dla stosowania pewnych praktyk. Mówi się, że poezja w ogóle powstała jako słowo śpiewane: inaczej nie podawano „Iliady", nie innym terminem niż „carmen" — „pieśń" określało się poezję. Tak, ale jeśli argument historyczny jest na tyle rzeczowy, to dalej śpiewajmy zamiast w ogóle mówić, bo w starożytnej Grecji w ten właśnie sposób posługiwano się językiem najnormalniej kolokwialnym. Podkreślając helleńskiego ducha nowożytnych olimpiad wykreślmy z ich programu pięciobój nowoczesny, bo jest w nim strzelanie z karabinu.

Piekło, piekło w duszy słuchacza. Toż tylko rzetelny wykonawca potrafi tak skutecznie zdeformować sens i charakter przedstawianego utworu, że odbiorca czuje tłuczone szkło w uszach. Co dopiero, kiedy śpiewa, czyli ma do pomocy całą aparaturę „nagłaśniającą". Wtedy cała nieumiejętność odczytania (już przemilczmy sposób podania, chodzi o rozminięcie się z intencją utworu) olbrzymieje, odsłania się, jest kalectwem uznanym za interesującą właściwość aparycji. Np. Maryla Rodowicz aktualnie brukuje pewnym ciekawym ustawieniem głosu, które polega na podobieństwie do odgłosów dławienia się. Widocznie kiedyś źle się jej przełknęło i foniczny przy tym odruch narządów życia uznała za niezwykle atrakcyjny jako nowe emploi wokalistyczne. Dlatego teraz z takim samozachwytem dławi się publicznie.

Teatr poezji. Moda na uszlachetniające nazwy. (Analogicznie — literatura faktu. Jeśli reportaż tak zdecydowanie podkreśla swą autonomię, dlaczego zależy mu na filiacjach z literaturą? Z kolei — dlaczego nazywać literaturą odpisywanie z życia? Nie twierdzę, że w samym odpisywaniu nie ma wartości, jest zresztą wartość nawet w fotografowaniu, ale literatura a więc kreacja uformowana jest przecież według innych zasad konstytucyjnych aniżeli „samo życie". Powiemy, że dobry reportaż jest literaturą, a nie jest kreacją. Otóż jest! Nie odbiega od faktów — w tym jego honor — ale sposób ich ujrzenia, posłużenie się nimi dla osiągnięcia zamierzonej wymowy niewątpliwie ma coś z kreacji. Nawet fotografować a fotografować to też różnica. Więc jest i tak. Po coś zabiegać o wypisywanie tego na szyldzie?)

Ale wróćmy do teatru poezji. Nazwa jest nobilitująca, dlatego w szyldzie. Duże Wysokie Dziedziny Artystyczne związane razem. W rzeczywistości jest to trzech, czterech recytatorów preparujących wybrane teksty w sposób dowolny i skuteczny na tyle, by ludzi, którzy nigdy po książkę z wierszami nie sięgnęli, wyleczyć w ich poezjo-fobii na zawsze. Para amatorów (w znaczeniu nie pełnych kwalifikacji) wyczynia z tekstami cudactwa traktując je jako akompaniament dla popisów z choreograficznymi wygięciami, a wszyscy i wszędzie trąbi się, że nigdy jeszcze poezja nie miała takiej upowszechnieniowej szansy. Szansy na co? Na rozminięcie się z gustami odbiorczymi jak choćby program rozrywkowego, w którym nie ma ani dowcipów, ani monologów, ani piosenki, ani skeczów, a jest do nudności wyeksponowana „przezroczysta" (Walderff) służąca przede wszystkim prezentowaniu golizny, co bardziej satysfakcjonuje same wykonawczynie, aniżeli przyzwyczajoną do tego publiczność.

A „literacka piosenka"? W praktyce rzecz polega na tym, że Tuwim, że Leśmian awansują do roli „tekściarzy". (Owszem, Tuwim rzeczywiście pisywał dla kabaretu, jak Czechowicz dla dzieci, ale tamten kabaret znał tzw. proporcjum i nie sięgał z kolei po np. „Podróż" czy np. „Skwar nędzarzy".) I to w sposób dość osobliwy. Bo wybierając tekst poety nikt nie kieruje się jego odpowiedniością w stosunku do zamierzonego efektu, tak jak autor muzyki nie troszczy się o dopasowanie jej do tekstu. Jedno i drugie — po co? I tak słowo spełnia rolę drugorzędną, jak zwykle w piosence, a jeśli przy okazji nazwisko poety zapobiegnie zarzutom, to zysk dodatkowy.

Nie bez kozery wymieniłem Tuwima „Podróż" i „Skwar nędzarzy". Ani to wiersze najlepsze ani powszechnie znane. Właśnie dzięki temu miały spokój ze strony kabaretu. I rzeczywiście do kabaretu nie pasowały. Dziś ten wzgląd nie ma żadnego znaczenia. Im mniej tekst zgadza się z muzyką, tym „oryginalniejsza" jest piosenka. Kompozytorzy nie uwzględniają, że ma ona swoją poetykę. Nie może w niej być za mądrze, za tragicznie, za poważnie, a nawet za dobrze. Piosenka to coś, co lekko przefruwa koło ucha i właśnie na skutek tej lekkości, tej bezpretensjonalności ma szansę w uchu zostać. Więc jak tu mówić o literaturze? A jeśli, to wniosek jeden: czym prędzej dorobić muzykę do "Wielkiej Improwizacji.

Czyli pozostaje otwarta kwestia: jak rozpowszechniać poezję? Bo piosenką nie. Polskimi Nagraniami nie. Teatrem poezji nie. W domyśle: wieczorem przy świecach spotkaniem autorskim, publiczną dyskusją — również nie. Więc czym? Jeśli chodzi o mnie, odpowiedź mam: historia wykazuje, że poezja była najlepiej rozpowszechniana wtedy, kiedy o jej rozpowszechnianie nikt się nie troszczył. Kiedy troszczyli się o to sami poeci, to znaczy pisali trafiając w czytelnicze zainteresowanie. Żadne pośrednictwo tego nie zastąpi. [illegible] sprawę dla jej dobra pozostawmy niezałatwioną.

A przed piosenką to [illegible] uchowaj Zeusie. I ciśnij w kogoś jakiś grom. Przynajmniej ostrzegawczy. Bo Marek Grechuta gotów śpiewać Peipera, lingwistów, a nawet poezję konkretną.

Protazy

POD PARAGRAFEM

Dlaczego magister pędzi?

MAGISTER miał taki problem, że nie był śmiały. Powiedzieć, że był po prostu nieśmiały, jest jeszcze za mało, albowiem magister się w dodatku zacinał. I to nie jak normalny człowiek na pierwszej sylabie, lecz na „i" dodanym, co wyglądało mniej więcej tak, że magister wchodził na przykład do sklepu i mówił:

— Poproszę iii... pastę do iii... butów.

Tego rodzaju zwłaszcza propozycja przedstawiała się, niestety, nad wyraz idiotycznie w oczach sklepowej a to z dwu powodów. Po pierwsze — ze względu, oczywiście, na „i" dodane, ale po drugie głównie, gdyż wiadomo, że pasty do butów nie ma w naszym mieście, chyba że w PKO, zresztą za czterdzieści centów.

Notabene magister nigdy nawet nie pragnął mieć zgniłych czterdziestu centów, ponieważ uchodził za porządnego obywatela, jakim był w istocie, chociaż ostatnio pani prokurator jest odrębnego zdania (pani, ponieważ akurat pani, a nie pan, i nic to nie ma do rzeczy, przypadek prosty).

W każdym razie sklepowa wybuchała straszliwym szyderstwem na propozycję magistra w sprawie pasty i wtedy magister denerwował się, zacinał jeszcze bardziej i wychodził, nie mówiąc nawet:

— Do iii... widzenia iii...

No więc ciężkie były problemy magistra. A szczególnie z dziewczynami, które generalnie lubią gładką i obszerną mowę, zanim się położą do tego łóżka. Toteż magister był ciągle, jako czterdziestolatek ostatnio, do wzięcia. Na państwowej posadzie za 4150 złotych miesięcznie — w resortowym instytucie, gdzie zajmował się obserwacjami przyrodniczymi.

Ponadto magister miał wstręt do wódki, którą niestety musiał spożywać codziennie, odkrył bowiem, że po alkoholu nie zacina się już tak bardzo, a czasem nawet wcale i to mu ułatwiało choćby zakupy. Nie na darmo Francuzi są tak elokwentnym i dowcipnym narodem, przecież oni codziennie spożywają wino — dumał magister, nie bez niejakiej słuszności zapewne.

Toteż magister nie zalewał się jak każdy porządny dipsoman raz na jakiś czas, ale do oporu. On popijał cały czas, z wyjątkiem nocy, i po trochu — mniej więcej ćwiartkę dziennie w porcjach pięćdziesięciogramowych. Tyle tylko, aby się mniej zacinać. Przed otoczeniem w pracy taił swój oddech miętówkami i pastylkami konferencyjnymi, uchodząc za rzetelnego pracownika, nie notowanego alkoholowo.

W tym miejscu potrzebne są pewne wyliczenia. Ćwiartka dziennie to jest pół litra na dwa dni, a to jest z kolei 13 półlitrówek na 26 dni roboczych, czyli sześć i pół litra miesięcznie. Zatem 1300 złotych miesiąc w miesiąc na samą wódkę, nie licząc czynszu za kawalerkę, opłat za gaz i światło. W sumie pensja zaledwie starczała magistrowi na skromne przeżycie. Ubiory kupował wyłącznie z przeceny, toteż zawsze był z modą spóźniony o kilka sezonów. Jadłospis magistra nie wykraczał poza stołówkę resortowego instytutu oraz sery i salcesony na śniadanie i kolację. O „dodoni" i szynce trudno było wprost marzyć w tej sytuacji.

Momentem przełomowym w życiu magistra była pewna scenka uliczna, którą był podpatrzył. Chłopak podrywał dziewczynę i taki magister usłyszał fragment dialogu:

— Skąd pan jest?

— Z kolorowych jarmarków.

— E tam.

— Nie wierzy pani? Jak boga kocham!

Dziewczyna została poderwana i magister pomyślał sobie, że w jego wykonaniu ten dialog w najlepszym wypadku, nawet po setce, wyglądałby mniej więcej tak:

— Skąd pan jest?

— Z kolorowych jarmarków — pierwsza kwestia przeszła gładko.

— E tam.

— Nie wierzy pani? Jak bboga kocham iii...

— I co? — spytałaby dziewczyna.

— Iii... — zagubiłby się magister.

Żadnych szans na poderwanie. Toteż magister postanowił, że jeśli ma dopłacać do swojej wady wymowy, a w dodatku z nie najbardziej optymalnym skutkiem, należy dopłacać jak najmniej. I magister postanowił pędzić na własne potrzeby. Nabył „małego chemika" w sklepie harcerskim i zainstalował skromną aparaturę w kuchni. Od tego momentu przynajmniej stopa życiowa mu się nieco podniosła.

Aż pewnego dnia, gdy magister był w pracy, rura kanalizacyjna w jego mieszkaniu pękła i woda poczęła zalewać sąsiadów z dołu, którzy wezwali wpierw hydraulika, a następnie milicję, żeby w majestacie prawa otworzyła mieszkanie magistra. Milicja otworzyła i stwierdziła, że magister pędzi. Hydraulik zatkał przeciek i stwierdził, że rura kanalizacyjna u magistra jest z usterkami, po prostu słaby odlew.

Gdyby nie słaby odlew, magister pędziłby dalej. Jak ktoś nie ma szczęścia, to i dupkiem w ocet, na tę jedyną trafi. Jest to jedna z niezaprzeczalnych mądrości ludowych.

pom

KĄCIK MALUCHA

Zaczynamy jeździć

NALEŻY bezwzględnie przestrzegać pewnych reguł i zasad, dotyczących prawidłowego eksploatowania samochodu. Wszystkie te zasady szczególnie ważne są dla nowego pojazdu, bo przecież od tego, czy właściwie zostanie on dotarty, zależy dalsza jego eksploatacja i niezawodność.

Za okres dotarcia przyjmuje się przebieg około 3000 km, jednak najbardziej istotne jest użytkowanie samochodu przez pierwsze 1500 km, kiedy to należy pamiętać, by prędkości maksymalne i minimalne na poszczególnych biegach stosować tylko przez krótki okres. Ponadto trzeba unikać gwałtownego zwiększania obrotów silnika (dodawania „gazu") zaraz po jego uruchomieniu.

Jeżeli silnik jest zimny, to uruchamiamy go przy wciśniętym sprzęgle (bardzo istotne podczas zimowego rozruchu) i włączonej dźwigni ssania. Przy tym nigdy nie przytrzymywać dźwigni rozrusznika zbyt długo, ponieważ prowadzi to do uszkodzenia samego rozrusznika, a nawet koła zamachowego.

Znacznie prostszy jest rozruch silnika ciepłego, wystarczy tylko pociągnąć dźwignię rozrusznika do oporu i cofnąć ją natychmiast po rozruchu silnika. By rozruch ten był łatwiejszy, można wcisnąć pedał przyspieszenia (gazu) do końca, a następnie stopniowo go zwalniać po rozruchu.

Przy początkowej eksploatacji nie wolno zapominać o dotarciu tak ważnego układu jakim jest układ hamulcowy. Stosujemy więc płynne hamowanie, dzięki czemu odpowiednio „układają się" okładziny hamulcowe, a to z kolei przedłuża ich trwałość.

Podstawowym zagadnieniem użytkowania samochodu jest stosowanie właściwych materiałów eksploatacyjnych oraz wykonywanie prawidłowej obsługi i regulacji zespołów zgodnie z zaleceniami producenta.

Silnik nowego „malucha" posiada nalany w fabryce olej wielosezonowy „Selektol Specjal" w ilości 2,5 litra; poziom oleju sprawdzamy co 500 km i uzupełniamy tym samym gatunkiem. Skrzynia biegów o pojemności 1,1 litra zalana jest olejem importowanym „Oliofiat ZC-90". Układ hamulcowy ma pojemność 0,25 litra i wypełniony jest płynem hamulcowym R-3 (o etykiecie niebieskiej). Do uzupełnienia płynu hamulcowego należy stosować wyłącznie R-3, gdyż przy stosowaniu innego zachodzi możliwość uszkodzenia elementów gumowych i elementów wykonanych z tworzyw sztucznych w układzie hamulcowym.

Wraz z odbiorem samochodu każdy użytkownik otrzymuje książeczkę gwarancyjną, która daje prawo do bezpłatnych napraw w okresie 6 miesięcy od daty zakupu pojazdu. Należy bezwzględnie przestrzegać terminów przeglądów gwarancyjnych, inaczej traci się gwarancję.

Jeśli już jesteśmy na przeglądzie, trzeba szczególną uwagę zwrócić na czynności obsługowe, które bardzo często bywają pomijane przez stacje obsługi, chociaż użytkownikowi samochodu przysługują: dokręcenie nakrętek głowicy (pierwszy przegląd) i rury wydechowej; sprawdzenie i wyregulowanie luzów paska klinowego prądnicy; sprawdzenie odległości między elektrodami świec zapłonowych; sprawdzenie poziomu elektrolitu w akumulatorze oraz stanu zacisków przewodów akumulatora, które w razie potrzeby należy oczyścić...

Właściwe dotarcie samochodu, dokładnie wykonany pierwszy przegląd gwarancyjny (bezpłatny — przy przebiegu 2500—3500 km) oraz następne przeglądy (co 10 000 km) w wybitny sposób przyczyniają się do zwiększenia trwałości samochodu.

I jeszcze jedna ważna sprawa. Skończyła nam się gwarancja po półrocznym okresie eksploatacji, a samochód zepsuł się wskutek ukrytej wady fabrycznej. W przypadku „malucha" jeszcze przez pół roku przysługują nam uprawnienia z tytułu rękojmi, chociaż gwarancja minęła. W okresie rękojmi udowodnienie wady fabrycznej spoczywa na właścicielu (trzeba skorzystać z pomocy rzeczoznawców PZMot.). Gdy rzecz zostanie udowodniona, wówczas przysługuje nam bezpłatna naprawa i zwrot kosztów ekspertyzy — właśnie z tytułu rękojmi.

inż. Krzysztof B.

KALEJDOSKOP

Nam śpiewać kazano

No, może nie braciom Kamenowiczom... Redakcja otrzymała jednak z prośbą o rozpowszechnienie założenia programowe Spotkania Twórców i Wykonawców Piosenki Amatorskiej (wszystko gużym literami) organizowane w dniach 6–8 października przez Wojewódzki Dom Kultury w Gorzowie Wlkp. i Myśliborski Ośrodek Kultury. „Naczelnym założeniem naszej imprezy — czytamy w dołączonej informacji — jest umożliwienie spotkania tym, którzy swoje śpiewanie traktują jako bardzo osobistą wypowiedź artystyczną. Ponadto naszą ambicją jest ujawnienie nie tylko talentów piosenkarskich, ale i kompozytorskich, czy literackich". I dalej: „Na nasze Spotkanie zapraszamy każdego, kto śpiewa, pisze teksty lub komponuje — ale w żadnej z wymienionych dziedzin nie posiada statusu profesjonalisty." Bezpośrednio zainteresowani niech sobie piszą po dalsze szczegóły do dyrektora WDK w Gorzowie Wlkp., Zbigniewa Józefowskiego (ul. Wał Okrężny 36/37). Bracia Kamenowiczowie nie mogą jednak nie postawić jednego pytania, które wynika z tego, że organizatorzy zapewniają uczestnikom Spotkania wyżywienie, nocleg i zwrot kosztów podróży II klasą pociągu osobowego. Pytanie to jest krótkie i brzmi: skąd macie tyle forsy? Ostatecznie kupuje się... kota w worku!

Miał być dziennikarzem...

...Stanisław Zaczyk, Aktor powiedział Janinie Kapuścińskiej z PAP-u: „Miałem być dziennikarzem, a zostałem aktorem. W tajniki dziennikarskiego zawodu wprowadził mnie nieżyjący już red. Stanisław Ziemba. Gdy w 1954 r. objął redakcję „Dziennika Zachodniego" w Katowicach, miałem odbyć u niego praktykę. Los zrządził jednak inaczej. Zatrzymał mnie Kraków, a w nim Studio przy Starym Teatrze". Redaktorowi Cieślakowi z krakowskiej telewizji dziennikarstwo jakoś nie kłóci się z filmem.

Jack London w „Żenmin Żypao"

Chiński dziennik „Żenmin Żypao" zamieścił felieton o ludziach, którzy postępują jak hieny. Autor stwierdza, że te nędzne zwierzęta snują się za potężnymi drapieżnikami czekając na okazję, by bez wysiłku i ryzyka nakarmić się pozostawioną przez nie padliną. Przytacza też opowieść Jacka Londona o zabłąkanej na morzu łodzi, na której w obliczu śmierci głodowej nastąpił podział na trzy grupy: tych, którzy chcieli zabić i jeść współtowarzyszy, tych, którzy woleli śmierć niż ludożerstwo i tych, którzy nie chcieli uczestniczyć w zabijaniu, ale wyczekiwali aż inni to zrobią, by móc zaspokoić apetyt. Kiedy jednak przyszedł ratunek, wszyscy oni znów stali się „cywilizowanymi" i „reformatorami".

„Żenmin Żypao" pisze, że chociaż tego rodzaju hieny ludzkie występują głównie w ustroju kapitalistycznym, to jednak pojawiły się one też w ChRL w okresie panowania „bandy czworga". Gdy „czworka" chciała kogoś wsadzić do więzienia, ludzie ci ochoczo zakuwali ofiary w kajdany, bili, kopali aż do uszkodzenia kręgosłupa lub rozbicia głowy, traktując to jako rozrywkę. Znaczna część tych ludzkich hien, to dawni aktywni zwolennicy „czworki". Ale niektórzy z nich sami nie uczestniczyli w zabijaniu ludzi, nie wydawali nakazów aresztowania, lecz stali na boku, czekając na swój kąsek. Gdy „banda" została obalona, ludzie ci znów stali się „cywilizowanymi" i udawali, że nic się nie stało. Trzeba pod ich adresem głośno zawołać, że są podli i kierują się burżuazyjną ideologią.

Dla braci Kamenowiczów najciekawsze w tym felietonie jest to, że ten stary burżuazyjny pisarz Jack London, na coś się przydał w postmaotsetungowskich Chinach.

Rządy urzędu

Z wielkim zaskoczeniem przeczytaliśmy w „Kurierze Lubelskim" z 12 kwietnia, że „radni Urzędu Miejskiego dzielnicy Dziesiąta" pełnią dyżury.

Znaliśmy w urzędach radców, ale radni nigdy nie działali w urzędach, które, jak powszechnie wiadomo, zatrudniały urzędników. Radni natomiast są członkami ciała wybieralnego, które m. in. nadzoruje pracę Urzędu Miasta kierowanego przez prezydenta lub naczelnika. Ciało to nazywa się — zgodnie z Konstytucją PRL i ustawą o radach narodowych — miejską radą narodową.

Dla kronikarza, który w 2078 roku będzie redagować rubrykę PRASA SPRZED STU LAT PISAŁA

Ze statystyką na bakier

Marianna Szymusiak pisze w „ITD" (nr 15): „Wskaźnik zatrudnienia najwyżej wykwalifikowanych kadr w przeliczeniu na każdy tysiąc zatrudnionych jest więc informacją bałamutną, zaś wyciąganie na tej podstawie wniosków nie prowadzi do trafnych stwierdzeń". Prowadzi, prowadzi, Koleżanko, trzeba tylko poszczególne wskaźniki statystyczne umieć odpowiednio zinterpretować. Na podstawie wyżej wymienionego, wcale nie bałamutnego, wskaźnika można na przykład zorientować się, czy ma się do czynienia z regionem przemysłowym czy rolniczym, ewentualnie czy na danym terenie położone są większe ośrodki naukowe lub kulturalne. Na żądanie możemy polecić kilka podręczników statystyki lub geografii ludności.

Pląsa pająk

W „Konfrontacjach" — studenckiej kolumnie przy „Kurierze Lubelskim" z 19 kwietnia ukazał się wiersz pt. „Jak twe ciało."
Oto on:

pląsa pająk
zmysłom szyje senny kokon
noc kołysze
lęk tężeje w żyłach mokro
rzeka dudni
anioł parzy siecią srebrną
po bezkresie
śmierć kiekocze białą pertą

Autorem tej perły poetyckiej jest Krzysztof Wróbel. Gratulujemy!

Gdzie ta Biblioteka?

„Największa inwestycja w dziedzinie kultury" podkreśla w nadtytule na pierwszej stronie „Express Wieczorny" z 6 kwietnia br. Chodzi oczywiście o budowę zespołu gmachów Biblioteki Narodowej w Warszawie. Dalej artykuł informacyjny, w którym podkreśla się rangę inwestycji, spotkanie poświęcone jej realizacji, wymienia wszystkie osobistości w nim uczestniczące, mówi się o wysokiej jakości, szczególnej trosce itd. Zapomniano jednak o najważniejszym: gdzie zlokalizowano inwestycję, bo Warszawa duża. Warszawiacy pewnie dowiedzieli się o tym pocztą pantoflową; chętnie dowiedzieliby się i lublinianie.

Kiepski punkt widzenia

W „ITD" (nr 15) Janusz Cieślinski w artykule „Punkt widzenia" opisuje ciekawy incydent: „Zgrupowanie kadry za granicą. Zawodnik S. to mistrz nad mistrze. W kadrze jest sporo młodzieży utalentowanej. Są oni potencjalnymi następcami mistrza. Zatem mistrz postanawia ich wychować. Podnosi głos jak coś źle robią. Ruga opieszałych na treningach. Za drobne przewinienia popełniane przez młodszych zgłasza kierownictwu zgrupowania propozycje surowych kar. Prawodawca w starożytnych Atenach, niejaki Draken (słyszeliśmy o Drakonie, ale to chyba nie ten — dop. nasz), mógłby brać u naszego mistrza lekcje. Obserwują to działacze i mówią do trenera, aby uspokoił zawodnika, zajął stanowisko zdecydowane [...] Trener stary wyga i taktyk, odrzekł posiłkując się przysłowiem o dzbanie i uchu [...] Trenera odwiedza kolega [...] Idą do dyskoteki. Jest 23.00. Trener siada... obok zawodnika S., który znajduje się w towarzystwie żeńskim".

Potem trener powiedział, że „... wszystko opowie żonie mistrza. Aż sportowy dostał drgawek, na co trener stwierdził, iż czas najwyższy, aby przestał się nadęzyć na zajęciach..." Dalej autor artykułu podaje, że „... każda z opisanych spraw — dop. nasz) miała epilog właściwy, taki jaki mieć powinna [...]. Wszyscy rozmówcy powiedzieli mniej więcej tak: — Widział stary. Można bez wymachiwania szabelką i bez kamuflażu. Nas interesowało załatwienie sprawy w najlepszy z możliwych sposobów". I kończy: „Punkt widzenia" ma podobny punkt widzenia". Bracia Kamenowicze mają jednak odmienny punkt widzenia niż J. Cieślinski, który publicznie popiera szantaż jako metodę wychowawczą. A fe!

Restauracja czy boisko?

„...panu prokuratorowi Richterowi codziennie s e r w u j e (podkreślenie nasze) się placek z jabłkami..." — obwieszcza „Sztandar Ludu" z 15–16 kwietnia br. w kolejnym kryminałku „Z teki Alfreda Hitchcocka". Czasownika „serwować" używa się w języku polskim do określania czynności na boisku, np. tenisowym czy piłki siatkowej. W żadnym wypadku nie powinno się określać nim czynności kelnera, co, niestety, spotyka się często w słowie mówionym i pisanym. Nie tak dawno poruszała tę sprawę TV w programie „Studia 2".

Chyba dzieci odwróciły

„Kurier Lubelski" w numerze z dnia 3–9 kwietnia zamieścił informację o szesnastej premierze kabaretu „Mixtura" zatytułowanej „Spróbuj być sobą". Informację ilustruje kilka zdjęć, pod jednym z nich podpis głosi: „Co robią Jerzy Beer i Jan Kinzler nie trzeba wyjaśniać". Otóż trzymają oni w ręku „Kurier Lubelski" złożony na pół, ale stroną odwróconą do obiektywu normalnie, czyli przed oczyma mają drugą połowę strony „Kuriera" do góry nogami.

Była kiedyś popularna anegdotka, jak babcia staruszka siedziała w kościele i przebierając wargami modliła się trzymając przed sobą książeczkę do nabożeństwa też do góry nogami. Na zwróconą jej przez siąstadkę uwagę odparła: „Oj to chyba wnuczki mi ją w domu odwróciły".

Pytanie postawione w Kurierze: „Co robią Jerzy Beer i Jan Kinzler" trzeba więc potraktować jako niezbyt proste.

Tysiące i jeden (błąd)

W zamieszczonej w „Sztandarze Ludu" z 13 kwietnia informacji PAP „W 30 rocznicę śmierci Wincentego Pstrowskiego" czytamy: „Tysiące ludzi w całym kraju n o s z ą odznakę...", a kilka wierszy dalej: „Tysiące ludzi... w c i e l a w życie..." Jakie więc powinno być orzeczenie dla podmiotu „Tysiące ludzi"?

Oj, warto zajrzeć do „Słownika poprawnej polszczyzny", bo przeczytać, że „liczebnik t y s i ą c e z rzeczownikiem łączy się z orzeczeniem w l.p", drodzy PAP-owcy!

Taxi driver

Dzięki wprowadzeniu w Lublinie usług „Radiotaxi" stworzono taksówkarzom możliwość legalnego oszukiwania klientów, z której ci (no, może nie wszyscy) chętnie korzystają. Jeden z braci Kamenowiczów jechał taksówką z Al. Racławickich na ul. Zachodnią. Włączył się radiotelefon i wezwano wolną taksówkę z okolicy ul. Narutowicza. Kierowca z radosną miną zgłosił się, przyjął zamówienie klienta z ul. Narutowicza 18. Licznik na Zachodniej wskazywał 12.50 zł, co w przeliczeniu na obecne ceny taksówek wynosi 15 zł, które uiścił brat Kamenowicz. Oczywiście kierowca nie skasował licznika, jadąc po oczekującego klienta, który oczywiście nie był w stanie sprawdzić skąd taksówkarz po niego przyjechał, toteż musiał prawdopodobnie zapłacić te dodatkowe 15 zł. Taksówkarze mają jeszcze inną, starą jak świat metodę: po odebraniu zamówienia, np. do szpitala na Jaczewskiego, jadą ze śródmieścia przez... dworzec kolejowy. A klient płaci i nikt nie ma nad tym kontroli. Rozwiązanie jest proste: wprowadzić stałą cenę za tę usługę, bez względu na odległość, np. 10 zł. Oczywiście w granicach miasta. Tym razem numer nieuczciwego taksówkarza zatrzymamy dla siebie.

Bracia Kamenowicze

Kamena str. 14

ekran widz

„Hubal" po latach

KWIECIEŃ — miesiącem pamięci narodowej. Kino „Kosmos" wznowiło kilka polskich filmów o tematyce patriotycznej, których akcja dzieje się w latach ostatniej wojny; m. in. „Westerplatte" Stanisława Różewicza i „Hubala" Bohdana Poręby. Pokazano je po raz pierwszy w Lublinie w wersji szczególnie atrakcyjnej: na taśmie szerokości 70 mm i w stereofonii. Seanse zaplanowano z myślą o szkołach, w godzinach przedpołudniowych na sali przeważała więc młodzież. Wybrałem się na „Hubala", żeby z perspektywy pięciu lat, jakie minęły od premiery, dokonać jeszcze raz oceny tego filmu, filmu szczególnie mi bliskiego. O majorze „Hubalu" i jego żołnierzach napisałem dwie książki, Kazimierz Braun wystawił na deskach tutejszego teatru moją sztukę o „Hubalu". Tutaj też, na estradzie „Kosmosu", stanąłem w dniu uroczystej, lubelskiej premiery obok porucznika Marka Szymańskiego, ostatniego dowódcy piechoty Oddziału Wydzielonego. „Hubal" cieszył się ogromnym powodzeniem, sale kinowe w całym kraju pękały w szwach, film stał się — przede wszystkim chyba ze względu na swój ogromny ładunek patriotyzmu — jednym z najbardziej zapełniających widownię.

W realizacji Bohdana Poręby „Hubal" przyjął kształt eposu bohaterskiego, gorącej opowieści o patriotycznej, pełnej miłości ojczyzny postawie oficera, który we wrześniu 1939 r. nie złożył broni i na czele swojego Oddziału Wydzielonego

Małgorzata Potocka — „Teresa" w jednej ze scen filmu

Wojska Polskiego walczył przez szereg miesięcy na Kielecczyźnie z Niemcami. Poręba potrafił pokazać tragizm Hubala oraz ludzką złożoność tej postaci, chociaż czasami może rysował swój film zbyt mocnym konturem i intensywnych używał barw. Ale trzeba pamiętać, że „Hubal" był swoistym „głosem publicystycznym" w obronie postawy bohaterskiej w naszej historii, głosem przeciwko wzgardliwemu pojęciu „bohaterszczyzny", tak mocno zakorzenionemu w pewnym okresie w naszej publicystyce historycznej. Przecież nawet w zakończeniu pierwotnego scenariusza filmowego o „szalonym majorze" jawił się on jako bohaterski szaleniec szarżujących samotrzeć na uzbrojone po zęby niemieckie tyraliery...

O ukończeniu filmu dowiedziałem się w trochę niecodziennych okolicznościach. Gdzieś w lasach Zamojszczyzny, w czasie wyjazdu na spotkania autorskie, mój towarzysz podróży, znany pisarz Stanisław Strumph Wojtkiewicz, wspomniał, że właśnie brał udział w kolaudacji „Hubala" i że wkrótce film wejdzie na ekrany. Po powrocie do Lublina zastałem list od red. Dondziłły z „Filmu" z zaproszeniem na specjalny, „roboczy" pokaz „Hubala". Oglądałem go w szczupłym gronie dziennikarzy, w małej salce projekcyjnej wytwórni przy Chełmskiej w Warszawie. Szła projekcja, zapalały się i gasły lampki nad pulpitami, notowano na żywo uwagi i spostrzeżenia; ale zarazem czułem, jak na sali narasta atmosfera skupienia i wzruszenia, co przecież nie tak często zdarza się profesjonalistom. Wkrótce potem ta sama atmosfera przeniosła się na wielkie sale kinowe...

Kiedy dzisiaj, po pięciu latach, siedzę wśród młodzieży na przedpołudniowym seansie, w sali świecącej tu i ówdzie pustymi fotelami, łatwiej przychodzi mi wychwytywać artystyczne mielizny i potknięcia „Hubala", zwracać uwagę, że sceny kameralne nie umywają się do plenerowych, że „wnętrza" są dość płaskie, podczas gdy po wyjściu kamery w plener film dopiero nabiera szerokiego oddechu, że niektóre postaci są nieprzekonywające, trącące sztampowością, a inne wprost przeciwnie: żywe, krwiste. Ale jedno jest pewne: film zachował swój szlachetny patos, swój gorący, podskórny rytm, który sprawia że widz chwilami czuje ucisk w gardle i słyszy mocne uderzenia własnego serca.

Temat, który oglądam teraz na ekranie, wciąż pozostaje żywy w pamięci widzów i w pamięci czytelników. Ostatnio napływa ku mnie fala listów, wiadomości o „hubalczykach". Pisze stale Witold Sowiński z Radomia, zgłasza się korespondencyjnie syn słynnego plutonowego „Lisa" — Franciszka Głowacza, telefonuje człowiek, który twierdzi, że potrafi wyjaśnić, co się stało z „Tereską" Marianną Cel — żołnierzem Oddziału Wydzielonego i pierwszą dziewczyną-partyzantem II wojny światowej... Niewątpliwie, ma tutaj swój wpływ również fakt zbliżania się kolejnej, 38. rocznicy śmierci majora „Hubala"...

W dniu, w którym ukaże się ten numer „Kameny", w niedzielę 30 kwietnia, jak co roku, w lasku pod wsią Anielin koło Opoczna w miejscu, w którym zginął major „Hubal", zaciągną warte byli „hubalczycy". Obok nich staną harcerze. Przyjadą przedstawiciele miejscowych władz, ściągnie okoliczna ludność. W dziewięć dni później ci sami ludzie zejdą się w innych miejscach, żeby uczcić Dzień Zwycięstwa, w którego nadejście tak gorąco i tak bez zwątpienia wierzył major Henryk Dobrzański, znany bardziej pod pseudonimem „Hubal". Niech ten — trochę nietypowy — felieton filmowy, będzie wyrazem szacunku dla jego miłości Ojczyzny.

M.D

J. S. Tomaszów Lubelski. Czuję się nieswojo, kiedy ktoś mnie indaguje o ocenę. Gdybyż był metr, który mierzy wiersze! Mogę pisać tylko o swoich wrażeniach. Pewnie, że ze względu na czytelniczy staż te wrażenia nie są nowicjuszowskie. Ale też i nie przesądzające. Poza tym nie mam prawa do tego stopnia zaciążyć na czyichś praktykach zgodnych z zainteresowaniem. A także nie jestem prorokiem. Więc autor, który na wstępie listu komunikuje o swym niezdecydowaniu, niech wie, że pewności nie mam i ja. Ale weźmy na warsztat tekst. Oczywiście, jest liryczny klimat, jest wyczucie emocjonalnych walorów słowa, ale — jak na mój gust — trochę za mało filozofii. Ostatecznie i z każdego spaceru da się napisać niezły wiersz. Pod warunkiem, że będzie tam coś więcej niż spacer. Co? To ja się chcę dowiedzieć jako czytelnik. Zresztą nie wiem: może akurat przysłana partia takie nastręcza wrażenie. W każdym razie wydaje mi się, że korzystniej będzie z drukiem poczekać.

Z. W. Łańcut. Powiedziałbym, że ton jeszcze wychodzi nieczysty. Nie oczekuję tzw. muzyki słowa, ani — broń Boże — łatwej onomatopeizacji, ale słyszy się chropowatość. Powiem przykrzej: nie jestem pewien, czy poezja to kierunek prawidłowo przez Pana obrany. Może popróbować w innym rodzaju? Cóż, okazuje się czasem, że ktoś zaczynający jako skrzypek lepiej w końcu wypada jako wiolonczelista.

Jupiter — 17. Bardzo pracowicie, gęsto i nieczytelnie wypełnił Pan te osiem stron rękopisu. Przebrnąłem tylko — proszę mi wybaczyć — nie jestem przekonany o celowości pańskiego zajęcia. Owszem, zdarzy się określenie uderzające, ale nie wiem, czy to nie przypadek. Na ogół zwroty oklepane w mowie codziennej na tyle, że aż nic nie znaczące. Odchylenie od tej normy należy zapisać na konto nieporadności.

B. Ł. Tarnów. Tekstów wydrukować nie możemy. Są tak wyśrubowane w superawangardowości, że aż nieczytelne. Przypuszczalnie sam Pan miałby trudności, gdybym poprosił o wytłumaczenie niektórych metafor. W sprawie Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy prosimy zwrócić się na adres Lublin, 1 Armii Wojska Polskiego 5. Tam ma siedzibę wspomniana organizacja.

J. U. Lublin. Wiersze mają pewien walor myślowy, ale nie mają cech ściśle literackich. Zresztą na podstawie trzech niewiele możemy powiedzieć.

A. D. M. Krasnystaw. Dlaczego to przytłoczenie, przygnębienie, poczucie depresji? Czy przypadkiem nie poza to, nie moda? Choćby nawet okoliczności życiowe taki nastrój miały powodować, to przecież sama czynność pisania mu się przeciwstawia. Właściwie nie można pisać inaczej niż z poczuciem wewnętrznej niezależności, wyzwolenia, siły. Istnieje „pesymizm konstruktywny". A to, co czytamy w pańskich wierszach i w wierszach wielu Pana rówieśników to już nie pesymizm, nie nihilizm nawet, ale jakiś masochizm. Satysfakcja z poniżania siebie. Czy uważa Pan, że w ten sposób jesteśmy bliżej prawdy? Nic podobnego. Prawdą jest to, że pisać można tylko z pozycji choćby tego najmniejszego kawałka pozytywnej wartości, którą w sobie zachowujemy jako podstawę do wystąpienia wobec świata. Choćby tą podstawą była chęć wyróżnienia się, sława. Katastrofistyczny Czechowicz zwierzał się przyjaciołom, że natychmiast zgodziłby się na śmierć męczeńską pod warunkiem, by jego pomnik stanął we wszystkich stolicach świata. Pomników nie stawia się tym, którzy samych siebie degradują. Pomników — oznak społecznego uznania. Oczywiście autodegradacja też wywołuje uznanie otoczenia: za szczerość, obiektywizm, autokrytycyzm. Ale na nich sprawa się nie może skończyć. Ten moment samouświadomienia ma być początkiem do podjęcia pozytywnych wartości. Jeśli to podjęcie nie następuje, na nic cały samokrytycyzm, jak na nic orka bez następnego siewu. Przepraszam za zejście na tematy rolnicze, ale tak jakoś i sprawy poezji się przedstawiają. Po pewnym czasie ciekaw byłbym pańskich tekstów.

J. S. Gdańsk. Zainteresowanie opowiadaniem zapisać należy na konto sensacyjności opisanego wypadku, a nie literackich zalet. Ma Pan pewne „behawiorystyczne" zacięcia, z którego może coś wyniknąć przy tematach „życiowych", ale równocześnie nieumiejętność stylistycznej selekcji. Cały początek opowiadania „Pies" mianowicie opis morza, jest bardzo literacki w tym ujemnym znaczeniu. Wyrażenia uformowane przez zdawkową stylistykę, jak „oddawał się rozmyślaniom", „bezinteresowne piękno otaczającej go natury". Zrezygnować z tego. Pańską siłą jest „toporność", „działanie się", a nie psychologiczna analiza, czy estetyczny stan świadomości. Tak mi się wydaje na podstawie jednego opowiadania. Mogę się mylić. Poza tym podejrzewam, że ową drastyczność zastosował Pan jak „mocne uderzenie" mające pochwycić uwagę czytelnika. Rzeczywiście chwyta, ale nie jest to uwaga najwyższej wartości.

Szyfrogram

(nr 9)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment wiersza polskiego poety, którego nazwisko utworzą trzecie litery 18 pierwszych wyrazów pomocniczych. Czarne pojedyncze kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne wiersza.

Wyrazy pomocnicze

36. 5. 68. 4. 7. 25 — teren o pewnej wspólnocie.
29. 144. 16. 51. 2. 158. 34. 134 — węgierski taniec ludowy.
6. 10. 76. 42. 26. 53 — dwunasta w nocy.
13. 154. 8. 54. 155 — złe, które nie śpi.
20. 41. 3. 28. 93 — mila morska na godzinę.
39. 30. 32. 111. 76 — tajne pismo.
87. 22. 89. 15. 107. 139. 148 — składa się z ogniw.
137. 14. 32. 24. 84. 37 — literat.
17. 135. 35. 31. 11. 58 — japoński cesarz.
19. 27. 1. 71. 46. 60 — dzień wolny od pracy.
80. 38. 101. 141. 45 — jar.
145. 100. 92. 64. 44. 110. 49 — zabobon.
65. 123. 149. 57. 66. 61. 69 — część uprzęży na szyi konia.
152. 62. 114. 59. 77. 118 — obraz zewnętrzny osoby lub rzeczy.
18. 48. 133. 21. 74 — państwo — subkontynent w Azji.
40. 142. 67. 88. 75. 43 — powieść Dostojewskiego.
147. 73. 91. 104 — nieodłączny towarzysz.
131. 79. 99. 116. 47 — padlinożerny ssak.
55. 81. 50. 157. 94 — łąkowe plony.
96. 132. 119. 95. 124. 52 — siostra mamusi.
108. 56. 63. 12. 97. 9 — fiat 126p.
125. 96. 82. 86. 128. 146 — zbiorowisko ludzi i domów.
130. 140. 102. 112. 103 — długie państwo w Ameryce Południowej.
113. 83. 126. 105 — przyjaciel d'Artagnana.
120. 115. 136. 150. 106. 85 — polna granica.
72. 121. 78. 117 — wielkanocny wypiek.
122. 109. 129. 127. 23. 138 — półfabrykat piekarza.
156. 151. 98. 143. 152 — otwierał się na wezwanie.

■	1	2	3	4	5	■	6	7	8	9	10	11	■	12
13	14	15	16	17	18	■	19	20	21	22	23	24	■	■
25	26	27	28	■	29	30	31	32	33	■	34	35	36	37
38	■	39	40	41	■	42	43	■	44	45	46	47	48	49
50	51	52	53	54	■	■	55	56	57	58	59	60	61	62
■	63	64	65	66	■	67	■	68	69	70	71	72	73	74
■	■	75	76	77	78	79	■	80	81	82	83	84	■	85
■	86	87	88	89	90	91	■	92	93	94	95	96	■	97
98	99	100	101	102	103	104	■	■	105	106	107	108	109	110
■	111	112	113	114	115	■	116	117	■	118	119	120	121	122
123	■	124	■	125	126	127	128	129	130	131	■	■	132	133
134	135	136	■	137	138	139	140	141	142	■	143	■	144	■
145	146	147	148	149	150	151	152	■	153	154	155	156	157	158

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z Nr 7 był fragment książki Zbigniewa Załuskiego „Siedem polskich grzechów głównych":

„Historię naszą trzeba uwolnić od szyderczych komentarzy i zawarty w niej bogaty ładunek wychowawczy w pełni wykorzystać do kształtowania ducha społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży."

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 7 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Barbara Czarnecka 20-685 Lublin, Grażyny 5/19, Waldemar Pieśniak 20-076 Lublin Krakowskie Przedmieście 53/27, Irena Hajduk 20-612 Jaworowskiego 2, Stanisława Widź 23-200 Kraśnik, Świerczewskiego 4.

Listy do kameny

NIE MOŻNA PRZYSTĘPNIEJ?

Nasze Bełżyce są starym, choć niewielkim miasteczkiem, o jeden tylko wiek młodszym od Lublina. Posiadają więc bogatą, 5-wiekową historię. Ich dokumentacja, nigdy dotychczas nie badana, spoczywa w przypadkowo odkrywanych co pewien czas lochach, znajdujących się głównie w rynku i pochodzących zapewne ze średniowiecza. Ilekroć natrafiano na owe ślady, a zdarzało się to co kilka lub kilkanaście lat, tylekroć skrupulatnie i niezwłocznie zasypywano je, tym samym zacierając ślady dawnej i świetnej przeszłości naszego miasteczka.

Ostatnio przypadek taki zdarzył się jesienią minionego roku — przy wyburzaniu starej rudery mieszkalnej w rynku, stanowiącej wraz z placem prywatną własność jednego z mieszkańców. W trakcie niwelowania placu zapadł się on pod całą posesją, ujawniając na całej swej niewielkiej powierzchni trzy wgłębienia, a raczej wejścia do wspomnianych lochów. Największe, najbardziej widoczne i przyciągające ciekawość każdego miłośnika historii, odkryło się tuż przy chodniku, ukazując w całej pełni murowane z ceglu okrągłe sklepienie, grubości ponad 1 metra.

Codziennie przechodzę obok tych miejsc do pracy i każdego dnia moje ciekawe spojrzenie tonie w czeluściach nieznanych, niezbadanych podziemi — w oczekiwaniu na pojawienie się archeologów.

Aż tu nagle pewnego dnia przed świętami pojawili się robotnicy i dokładnie zasypali wszystko — czy z polecenia właściciela placu, czy też miejscowej administracji. Na moje pytanie padła odpowiedź: że widok lochów nie może szpecić miasta...

A czy nie bardziej szpetne jest lekceważenie i świadome zagrzebywanie uchylonego przez sam czas rąbka historycznej tajemnicy naszego miasteczka?!

Co wy na to, humaniści i historycy Bełżyc? Czyżby ogarnęła was „historyczna znieczulica"? A szkoda wielka!

Wcześniej powiadomieni o sprawie archeolodzy z pewnością nie pominęliby jej milczeniem. Niniejszym sygnalizuję ów nieszczęsny przypadek naukowcom odpowiedniej dyscypliny, aby zainteresowali się podziemiami naszego miasta. Myślę, że gra jest warta zachodu.

Stanisław Masierak
Bełżyce

APEL DO ARCHEOLOGÓW

Polskie Towarzystwo Matematyczne i Polskie Towarzystwo Fizyczne wydają „Deltę", czyli, jak głosi podtytuł, „matematyczno-fizyczny miesięcznik popularny". Dość zręcznie redagowane pismo cieszy się niewątpliwie zainteresowaniem miłośników pożytecznego łamania sobie głowy nad problemami z wiadomego zakresu. Obok artykułów, zadań i zagadek przeznaczonych dla bardziej zaawansowanych osób znajdują się w „Delcie" publikacje przeznaczone dla młodzieży. I tu właśnie pytanie: czy nie warto by poszerzyć właśnie tego działu, dostosowując jego poziom do możliwości uczniów wszystkich klas szkoły średniej lub, w przyszłości, przynajmniej kilku starszych klas dziesięciolatki. Ta sugestia wynika z mojego osobistego doświadczenia, chcąc bowiem wprowadzić syna z ósmej klasy w świat matematyki atrakcyjnej, zacząłem mu kupować „Delte". Okazało się jednak, że zawartość czasopisma przekracza wysoko próg „możliwości matematyczno-fizycznych" mego dziecka, które w tych przedmiotach czuje się przecież bardzo pewnie.

Proszę o zainteresowanie się sprawą także Ministerstwo Oświaty i Wychowania, które formalnie (i zapewne fiskalnie) popiera „Deltę". Sprawa jest dość ważna, jeśli uwzględni się niski, niestety, poziom wiedzy matematyczno-fizycznej w naszych szkołach.

Antoni Kurzawski
Chełm

DZIWNY RUN NA KATALOGI

Byłem ostatnio na VI Forum Fotografów Krajoznawców w Krakowie i tam dowiedziałem się o następującym zdarzeniu, którego treść ma chyba charakter anegdotyczny.

Działo się to w Warszawie, na Pradze. W jednej z instytucji, posiadającej salę wystawową, urządzono ekspozycję fotograficzną. Na wernisażu było niewiele osób. Komisarz wystawy wyłożył sporo katalogów, które już następnego dnia — o dziwo! — zniknęły. Zdziwiony zainteresowaniem publiczności komisarz po kilku dniach wyłożył znowu sporą liczbę katalogów, które nazajutrz ponownie zniknęły. Mile zaskoczony rozwojem sytuacji w galerii niezbyt dotąd odwiedzanej komisarz nie wyłożył jednak więcej katalogów, bo ich więcej nie miał.

Podczas likwidacji wystawy w sali pojawiła się sekretarka instytucji — właściciela obiektu, niosąc w dłoniach znaczną liczbę ... katalogów owej ekspozycji! Wreszcie je komisarzowi rzekła: „Schowałam, by ich nikt nie zabrał".

Fajne?!

SIE
(nazwisko i adres znane redakcji)

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.
Cena prenumeraty rocznej — 78.—
Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH"
Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.
Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 1123
Numer łamali Mieczysław Psujek i Tadeusz Słoboda, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurdy
Nr indeksu 36251

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, z-ca red. nacz., dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

TANIO JAK BARSZCZ - 3 ZŁ

NOS

Ot co!

Z oddali i dalsi są bliżsi.

Władysław Grzeszczyk

•

Tylko tresowana pchła nie podskakuje.

Józef Witkowski

•

Nie staczaj się pod górę!

Jan Górczyński

Gazu! Fot. L. Leo

Informacje z pierwszej ręki

W Bibliotece im. Łopacińskiego się trzęsie. Czy ktoś, czy coś (się trzęsie) na razie nie wiadomo. Badania trwają. Na wstępie ich stwierdzono, że wystawa prac Hasiora, otwarta na drugim piętrze gmachu, nie ma wpływu na to, co się dzieje na parterze.

•

A kiedy wreszcie w Lublinie? Grupa właścicieli pojazdów samochodowych zwróciła się z petycją do Urzędu Miejskiego o wprowadzenie płatnych parkingów. „Nie chcemy — czytamy w ich piśmie — by i w tym przypadku Lublin był gorszy od Warszawy, Krakowa i Nowego Sącza. I z jakiej to niby racji mieszkańcy Nowego Sącza mieliby u nas bezpłatnie korzystać z parkingów?" Właśnie! „Nos" zadaje to samo pytanie.

•

Drugoligowa drużyna piłkarska lubelskiego Motoru ma chęć zacząć wygrywać. Najbliższym przeciwnikiem będzie więc „Czarny Piotruś", drużyna złożona z wychowanków przedszkola nr 45.

•

Jest nadzieja, że wkrótce Lublin będzie miał pod dostatkiem piwa Okocim. Szef gastronomii WSS, Jerzy Kuźmiński, zakupił kilkaset tysięcy nalepek z napisem „OKOCIM SPECIAL BEER FULL-LIGHT" etc. Nalepki otrzymają poszczególne zakłady zbiorowego żywienia, a specjalnie zatrudnieni pracownicy będą nimi zaklejać etykietki z „trybunalskim" i „perła chmielową". Piwo w nowym opakowaniu będzie kosztować nie 25 zł, ale 24 złote. Rentowność gastronomii wzrośnie. Premie dla kierownictwa również.

•

Korespondent z Łęcznej donosi: 10 kwietnia 1978 r. o godz. 19-tej pewien brodaty młodzieniec zaproponował kelnerce z „Oleńki": „Dam ci miesięcznie dziesięć tysięcy. Tylko tyle, bo pięć tysięcy będę musiał dać na alimenty, pobierzemy się?" Kelnerka ciągle się namyśla, brodaty młodzieniec wytrzeźwiał i wrócił do kopalni. Komentarzy brak.

Czubek

KONKURS O KOLOROWĄ CHUSTECZKĘ

Konkurs o kolorową chusteczkę (do nosa lub do oczu) ogłasza redakcja „Nosa". Do nagród mogą pretendować mieszkańcy czterech wschodnich województw imiennie skrytykowani przez prasę w czasie od 1 kwietnia 1977 do 1 kwietnia 1978. Kadydatury mogą składać bezpośrednio i pośrednio zainteresowani, a także — ponieważ konkurs ma zasięg powszechny — ludzie w ogóle niezainteresowani, pod adresem redakcji „Nosa", Lublin, Skłodowskiej 2, przy red. „Kameny" w terminie do 1 lipca 1978.

DEBIUT

pal licho!

Rys. Jacek Hordejuk

Andrzej Sikorowski

Piosenka o mojej fortunie

Fortuno złota, co się ponoć kołem toczysz
i od przypadku do przypadku stale gnasz...
Wiem, że naprawdę to masz bystre oczy,
donośny głos i nazbyt pewną siebie twarz.

Fortuno złota, trochę wyższy urzędniku,
co blankiet szczęścia możesz podbić albo nie,
Czemu przede mną drzwi do nieba wciąż zamykasz
i czemu łaskę swą odkładasz z dnia na dzień?

Że ze mnie petent byle jaki to przyznaję,
że cię mój drażni podniesiony jeszcze kark,
lecz skoro inni dają, skoro inni dają,
to dla fantazji mnie choć pozwól przejść bez walk.

I strzeż się, bowiem jeśli zdołam się zeszmacić
to jak mydlana bańka pryśnie siła twa,
bo wiem, gdzie wyżej dojść, by racje swe opłacić,
bo grać potrafię i wiem, o co idzie gra.

Mówią, że kołem toczysz się, fortuno złota,
lecz już bez lęku na twej drodzę będę stał.
Ty jesteś moja, całkowicie moja
i zobaczymy, kto się bardziej będzie bał...

„Grupa muzyczna Pod Budą", a wcześniej grupa muzyczna krakowskiego kabaretu studenckiego „Pod Budą", występuje samodzielnie od roku. Anna Treter, Chariklia Mocos, Andrzej Sikorowski, Jan Hnatowicz, Andrzej Żurek i Krzysztof Gawlik wykonują program składający się z utrzymanych w balladowej — poetyckiej konwencji piosenek Andrzeja Sikorowskiego (teksty i muzyka), oraz Jana Hnatowicza (muzyka). Grupa pracuje pod patronatem krakowskiego oddziału Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego.

Ogłoszenia drobne

OKAZJA: UCZEŃ II KLASY Liceum im Staszica pisze prace magisterskie. Temat do uzgodnienia. Oferty pod nr 11, Lublin, skr. poczt. 231.

POSIADAM „PRZYJACIÓŁKĘ" nr 6/78. Oczekuję propozycji. Oferty pod nr 12, Lublin, skr. poczt. 231.

KUPIĘ CHAŁUPĘ Wśród właścicieli piszący autorzy powieści młodzieżowych mają pierwszeństwo. Oferty pod nr 13, Lublin, skr. poczt. 231.

DAMA Z ŁADĄ pozna pana z motocyklem celem chałupniczej produkcji fiatów 126p. Albo innych maluchów. Oferty pod nr 14, Lublin, skr. poczt. 231.

PYTAM I NIE BŁĄDZĘ, wymienię doświadczenia z tym, co błądzi i nie pyta. Oferty pod nr 15, Lublin, skr. poczt. 231.

ZAPROSZĘ NA KONIAK mechanika samochodowego. Oferty pod nr 16, Lublin, skr. poczt. 231.

TYLKO CUDZOZIEMCOWI wynajmę miejsce na piecu do spania. Wiejskie powietrze. Okolice podwarszawskie, na południe od Lublina. Oferty pod nr 17, Lublin, skr. poczt. 231.

JESTEM NA TY z Aleksandrem Rozenfeldem. Opowiem zainteresowanym, jak do tego doszło. Oferty pod nr 18, Lublin, skr. poczt. 231.

6/8659/2528 5100